Nr. 34. Kraków, dnia 21 sierpnia 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

Od wybitnego pracownika społecznego otrzymaliśmy następujące uwagi, dotykające spraw naszego mieszczaństwa. Sprawa jest tak ważna, że wymaga obszernego omówienia w prasie. Artykuł ten uważamy za początek dyskusyi, zastrzegając sobie głos na później. — Red.

Nasze mieszczaństwo.

Mało który naród okazał się zdolnym do tak szczytnych i płomiennych czynów, do tak krwawych poświęceń, jak Naród Polski! Dzieje porozbiorowe wykazały dostatecznie, że w każdym z nas tkwi wiele bohaterstwa, ale dzieje te same wykazują również, że brak nam woli do pracy realnej, do pracy wytrwałej nad podniesieniem kraju z niewoli ekonomicznej.

Mamy wiele krwi do przelania, mamy wiele serc płomiennych, ale mało trzeźwego i spokojnego umysłu, który rozważa, który oblicza... robi plany, a na podstawie tych prac przedwstępnych a podstawowych buduje.

Zasypać paszcze dział w wąwozie somosierskim żywymi ciałami polskich szwoleżerów, złamać potęgę i butę Krzyżaków na polach Grunwaldu, rzucić milion na polskie szkoły kresowe, to dla nas czyny łatwe i naturalne.

Ale iść w lud i uczyć go racyonalnej uprawy tej wyjałowionej złą gospodarką ziemi, zapoznawać lud ten z postępami rolnictwa, poprawiać te pełne poetyckiego czaru i zaniedbania sady, pełne zdziczałych drzew, zastępować ostatnie szczepami dostowanymi do gleby i klimatu, a prowadzonymi umiejętnie, zastępować liche gatunki ptactwa domowego, jednym gatunkiem dla każdego gospodarstwa, czyli ubogiego kmiecia na jednym morgu ziemi uczynić zamożnym gospodarzem na tym kawałku roli: — do tej pracy często brak nam ofiarnych pracowników. Przekonać naszą jednowioskową szlachtę, wśród której jest coraz więcej właścicieli... z porcelanowymi fajkami, że powinna wreszcie wydawać tylko część czystego rocznego dochodu: — tej pracy nikt się nie podejmuje. I nikną w sposób zatrważająco szybki te ostoje polskości na wsi, rozpadają się w gruzy, bo wszyscy jesteśmy zbyt wielkimi panami!

Cóż dzieje się w naszych małych miasteczkach? Jaka tam wre praca, jakie tam zapanowały ideały?

Nasze całe mieszczaństwo, to przeważnie urzędnicy państwowi, krajowi i t. p. z małym dodatkiem ludzi wolnych zawodów. Dodajmy do tego rzemieślników i bardzo drobnych przemysłowców... a określiliśmy prawie całe nasze mieszczaństwo. Brak u nas prawie zupełny, w naszych małych miastach owego właściwego, poważnego mieszczaństwa, które rekrutuje się z zamożnych rzemieślników i zawodowo wykształconych przemysłowców.

Cóż robi przeważna część tej inteligencyi w chwilach wolnych od pracy zawodowej? Czy urządza odczyty naukowe czy polityczne, czem karmi swoje umysły? Przy zielonych stolikach takich czytelni rzadko znajdziesz się przed książką poważną, choćby najbardziej popularną, natomiast pełno tam lektury niewyborowej, a często górują nad tem wszystkiem wydawnictwa ulubionego Ferdynanda Płatnika, które tak pochłaniają umysły i dusze pewnych gromadek, że te zaledwie rankiem niekiedy wracają do swoich domów, do żon i do dziatwy.

A owa „jeszcze jedna mocna“ i „jeszcze jedna bombka“ jak poważną a smutną rolę odgrywa w życiu niejednego z tych panów. A jak ci niektórzy panowie popierają każdy cyrk, który zjedzie do takiego miasteczka i każdego magika!

To biedne mieszczaństwo, w którym zbyt wybujały złe instynkta, który ma także dusze, woła do nas: „podajcie nam dłoń!“ W wielką rocznicę *Grunwaldu* woła do nas: Ocknijcie się i dźwignijcie to biedne mieszczaństwo małych miasteczek. Uszlachetniajcie je, przygarniajcie do siebie i pracujcie nad niem tak jak to już ma miejsce

w pracy nad ludem, która coraz to szersze i zbawienne zatacza kręgi!

Miasta pozostaną na zawsze środowiskiem i punktem zbieżnym każdego ruchu kulturalnego i społecznego. Uszlachetniając tych maluczkich mieszczan, założycie podwaliny pod najszerszą pracę społeczną i narodową, a z najmniejszych miasteczek uczynicie trwałe twierdze życia narodowego. *Z. Z.*

Kupiectwo a tępienie niemczyzny.

Niejednokrotnie mieliśmy sposobność wskazywać na napór niemiecki na Galicyę; przejawia się on zarówno na polu kalturalnem, jak przedewszystkiem gospodarczem.

Instytucye handlowe i przemysłowe niemieckie usiłują opanować rynki galicyjskie, kupiectwo zachodnio-europejskie, zwłaszcza niemieckie, ma stosunkowo znaczne poparcie rynków lokalnych krajowych.

Niema zdaje się u nas w kraju wielu takich, co mieliby odwagę zerwać stanowczo z niemczyzną. Wskutek szeroko rozpowszechnionych zwyczajów w społeczeństwie, które w korespondencyach swoich zagranicznych używa języka niemieckiego, i kupiectwo w stosunkach handlowych woli bodaj posługiwać się językiem niemieckiem.

Byłoby niezwykle cenne uzyskanie informacyi ile mamy w kraju firm polskich, ruskich i niemieckich. Brak atoli wszelkich podstaw do takiej statystyki.

Jedyną podstawą są wpisy do rejestru handlowego, gdyż według tego, w jakim języku reprezentant firmy dokonuje zgłoszenia do rejestru, a tem samem, w jakim języku sąd handlowy ogłasza dotyczący wyciąg, możemy sądzić o charakterze przedsiębiorstwa. I mamy pod ręką ogłoszenie Trybunału handlowego lwowskiego okręgu galicyjskiego, zebrane w „Przeglądzie prawa i administracyi", za pierwsze półrocze roku 1910. (Ogłoszenia krakowskiego Trybunału rozproszone są po „Wiener Zeitung" i „Gazecie lwowskiej", nie publikuje ich żadne z pism krakowskich.)

Owóż we lwowskim okręgu od dnia 1 stycznia do 1 lipca 1910 ogłoszono 145 wyciągów z rejestru handlowego, w tem: 110 w języku polskim, 54 w języku niemieckim, a 1 w języku ruskim. Zatrważająco wielką jest liczba wpisów w języku niemieckim, gdyż stanowi niemal jednę czwartą (23.6%) wszystkich wpisów. Tak poważna liczba wpisów niemieckich w kraju, w którym formalnie biorąc, Niemców jest liczba niewielka, w którym spotkać kupca, Niemca czystej krwi, dość trudno, budzi poważne obawy, skłania do wglądnięcia w przyczyny tego stanu, jest faktem, że przeważnie ci, którzy dokonali do rejestru zgłoszenie w niemieckim języku, są to kupcy od dawna na naszej ziemi osiadli, którzy jednak nie zdążyli jeszcze przyzwyczaić się do posługiwania się językiem polskim. Pewien przytem odsetek przypada na obce instytucye handlowe i bankowe, które zakładają swoje filie w Galicyi. I podkreślić trzeba, że niektóre firmy czeskie, walczące tak usilnie z żywiołem niemieckim, tutaj w Galicyi posługują się przynajmniej przy wpisach do rejestru handlowego językiem niemieckim. Wesołość budzi np. wpis jakiegoś „Słowiańskiego Towarzystwa", dokonany w języku niemieckim. Niektóre świeżo powstałe firmy zaniedbują nawet podania polskiego brzmienia obok niemieckiego, jakgdyby nie znajdowały się w kraju, w którym żyje kilka milionów Polaków.

Stan ten jest przykry i należy zapobiedz mu w imię dobra publicznego. Przecie sami nie możemy być rozsadnikami tej niemczyzny, którą się zwalcza na każdym kroku. Raczej bez fanfaronady i krzyków czyńmy to, co nakazuje obowiązek publiczny, a rychlej dopniemy swego.

Do WIADOMOŚCI C. K. DYREKCYI POCZTOWEJ WE LWOWIE. List pośpieszny (express), wrzucony w Krakowie w niedzielę 17 lipca 1910 r. o godz. 10.30 wieczorem do skrzynki na dworcu głównym, adresowany do wydawcy naszego pisma, a zawierający skrypta przeznaczone do numeru „Tygodnika Narodowego" z 24. z. m. — *nie doszedł* zupełnie rąk adresata. — List pośpieszny, wysłany dnia 23 lipca z Poznania do wydawcy pisma, bawiącego w Krynicy, nadszedł w terminie przepisanym, nazajutrz dnia 24 t. m., natomiast ten sam list wskutek wyjazdu adresata, przeadresowany do Krakowa szedł 2 dni i doszedł dopiero dnia 17 lipca. List ten zawierał druki *terminowe*. Dalej list do redakcyi naszego pisma, omawiający kwestyę wysoce aktualną, wysłany z Zakopanego 14 sierpnia, doszedł rąk naszych 19 sierpnia.

Co Świetna c. k. Dyrekcya poczt i telegrafów na to?

Wydawnictwo „Tygodnika Narodowego".

Aleksander Krukowiecki.

II.

Z okien dworu widać było, że większa połowa oddziału piechoty z całą kawalerya i kozakami poszła w pogoń za Habichem.

„Zawszeć nasi uszli już kawał drogi“ — pocieszali się oblężeni, kontenci, że niedarmo oddadzą życie.

Nagle uwagę ich zwrócił jakiś dziwny szum, trzask, potem huk coraz potężniejszy, rozlegający się z góry, od dachu.

„Podpalili nas!“ wykrzyknął który; widmo straszliwych męczarni konania w zaduchu dymu wśród żrących płomieni, stanęło przed powstańcami.

Moskale zawyli radośnie i zwartym półkolem zbliżać się poczęli do dworu.

Z szeregów ich wystąpił oficer powiewając białą chustką i zawołał donośnie, pdochodząc tuż pod okna: „Polacy! wzywam was, poddajcie się. Za chwilę zginiecie w płomieniach. Nie będę mścił się na was za tylu zabitych żołnierzy moich. Oddacie mi tylko waszą broń, a potem car najmiłościwszy rozporządzi waszym losem. Powtarzam, za chwilę zginiecie!“

Powstańcy milcząc wysłuchali tej przemowy. Krukowiecki wychylił się przez okno.

„Polak umiera, ale nie poddaje się wrogowi nigdy“ — rzucił krótko i twardo.

W tejże chwili z szeregów moskiewskich padł strzał. Kula zdarła Krukowieckiemu kaszkiet. „Zdrajcy!“ syknął Krukowiecki podnosząc karabin do ramienia. Moskiewski żołnierz zachwiał się i runął wypuszczając z rąk karabin z dymiącą jeszcze po zdradzieckim strzale lufą.

Huknęły znowu karabiny gęstą nieustającą salwą, żołdactwo nacierało coraz bliżej, strzały powstańców, choć zawsze śmiertelne, były już coraz rzadsze.

Brakło im naboi.

Strzelał już tylko Krukowiecki, ilekroć wiatr odgarnął kłęby dymu, zasłaniające Moskali.

Jeden z powstańców wyjął książkę do nabożeństwa i począł odmawiać litanią za konających.

Słowa modlitwy rozległy się ponuro przy huku karabinów, wśród syku i trzasku płonącego dachu. Cały oddział powtarzał głosem uroczystym i spokojnym: „Zmiłuj się nad nami“.

Potem ze wszystkich rozmodlonych piersi wypłynęła pieśń, którą lud wiejski na pogrzebach śpiewa: „O, Jezu mój, o, Jezu mój! gdy będę w ciężkościach, sam przy mnie stój!“

Na pogrzebie własnym śpiewali powstańcy — czerwone iskry poczęły już sypać się im na głowy.

Karabiny moskiewskie umilkły. Zdawało się, że ten pogrzebowy śpiew zaczarował napastników, że nie chcą mącić ostatniej chwili życia ginących, że pozwalają im umrzeć spokojną, choć straszną śmiercią w płomieniach i dymie.

Krukowiecki również przestał strzelać. Śpiewał z innymi.

„Co to?“ zawołał nagle, jakby ocknięty z letargu. „Moskale uciekają! Odsiecz? Zbawienie!“

Powstańcy pędem zbiegli na dół.

Podwórze było puste. Wśród zmroku zapadającego wieczora czerniały tylko trupy, porzucone tornistry, kociołki, czerwone odblaski płomieni pełzały po pobojowisku, zapalały iskry w mosiężnych guzikach mundurów, przeglądały się w karabinowych lufach. W ciszy wieczornej słychać było tylko westchnienia konających, huk płomieni, trzask walącego się wiązania dachu.

Nie widać napastników, ale też i odsieczy ani śladu.

Z za węgła stodoły wysunął się ostrożnie jakiś cień i zbliżył się zwolna ku powstańcom.

„Kto tam?“ zapytał Krukowiecki.

„To ja, Grzymała, karbowy“ ozwał się głos nieśmiały.

Z pomroki wychyliła się płowa czupryna chłopa, odblaski ognia zapaliły w jego szarych oczach płomyki chytrej radości.

„Nie wiecie, dlaczego uciekli Moskale?“ zagadnął Krukowiecki.

„A ze strachu“ — odrzekł Grzymała.

„Dobrze, ale przed kim? Gdzież powstańcy?“

„Nie było tu nijakich powstańców — uśmiechnął się Grzela — ja to ino zwiodłem rusków. Patrzę, że te juchy usadziły się na panów, a tu dwór cały w ogniu, myślę ja sobie — poczekajta! Tak lecę do starszego i gadam: „Jaśnie wielmożny panie generale, tam od lasu okrutna siła Polaków wali“.

„No a gdzież Polacy?“ przerwał Krukowiecki rozglądając się dokoła.

„A od lasu rychtyg wielga siła wali“ kończył Grzymała „tylko że nie powstańców, jeno owiec i bydła — a kurzawa ci taka była zdala, jakby z tysiąc ułanów gnało“.

Powstańcy huknęli śmiechem, aż się echo na na podwórzu rozległo.

Zapomnieli już, że przed chwilą dysponowali się na śmierć, śmiali się długo i serdecznie z konceptu chytrego chłopa i z tchórzliwości Moskali.

„Ale tęgo ich panowie nakruszyli", dziwił się Grzymała obchodząc pobojowisko.

Przeliczono trupy, było ich sześćdziesiąt i kilka, połowa blisko legła przed oknem, z którego strzelał Krukowiecki.

Syn zdrajcy zapłacił dobrze za hańbę swego ojca.

Nie masz droższej od tej ziemi.

Nie byłem ja z kompaniją — Panienko!
Gdy Cię Naród strojną zdobił — Sukienką!
Nie byłem ja w Częstochowie — Królowo!
Gdy Ci kładli tę koronę, — Tę nową
I na szyję koralisie, — Klejnoty!
I pod stopki on miesiączek, — On złoty!
Alem chodził, o Maryo, — Tą stroną,
Co Ci cała wzdłuż i w poprzek — Koroną!
Alem chodził, Gwiazdo morza, — Lelijo,
Po tych drogach, co w opłotkach — Się wiją,
Po tych drogach, Jasnogórska — Panienko!
Kędy Chrystus, Twój Synaczek — Pod Męką —
Alem bywał na tej leśnej — Pustoci,
Gdzie Twój szkaplerz na sosence — Się złoci!
Alem bywał po tych chatach — Rozłogiem,
Gdzie Twój obraz, Częstochowska, — Nad progiem.
Alem chodził po tych miejscach — Myślący,
Gdzie Pan Jezus na pasyjce, — Krwawiący,
Jakby patrzał z pod cierniowej — Korony
W wielkim bólu na te moje — Na strony!
I myślałem, Gwiazdo morza! — Lelijo!
Że chociaż ci z perełek wianek — Uwiją,
Chociaż całą przyodzieją, — Matuchno!
W szatkę miękką, jedwabistą, — Cieniuchną —
Chociaż tronik Ci ustawią — Złocony,
Nie masz droższej od tej ziemi — Korony!
Nie masz w berle bogatszego — Klejnotu
Nad tę ziemię, łez, krwi naszej — I potu!
Nie masz droższej nad milejsze — Te drogi,
Kędy prosty, drzewny krzyżyk — Ubogi.
I pacierza nie usłyszysz — Królowo,
Nad tę śpiewkę, polską śpiewkę — Majową.
I żałości nie odnajdziesz, — O Pani!
Ile w polskiej duszy, piersi — I krtani.
Ni takiego bólu w oczach, — Panienko!
Chyba... chyba u Synaczka — Pod Męką!
U Chrystusa o cierniowej — Koronie,
Co się rzędem krzyżów rozpiął — W tej stronie
I pogląda pełen krwawej — Tęsknoty
Jak tam niegdyś... z Kalwaryji — Golgoty!

El.

Dożynki.

„Czyż potrzeba objaśniać — pisze w notatkach swych Zygmunt Gloger — jak wielkie znaczenie ma żniwo dla rolnika? Czyż nie przypomnicie sobie tego, co śpiewał wieszcz Czarnoleski:

Oracz pługiem zarznie ziemię,
Ztąd i siebie i swe plemię
Ztąd roczną czeladź, ztąd wszystek
Opatruje swój dobytek.

Kiedyż — mówi Gloger — rolnik ma się weselić i Bogu pokłonić, i ziemi błogosławić, i ludziom za pomoc dziękować, jeżeli nie wtedy, gdy pod dach swój zgromadzi owoce pracy mozolnej i zabiegów całorocznych? To też wszystkie prawie ludy rolnicze uroczyście zakończały każdego roku zbiory plonów, a obchodom tym towarzyszyły zwyczaje i obrzędy tak stare, jak pług, którym człowiek zaczął dziewicze pola uprawiać. W tych zwyczajach, jak i we wszystkich innych, w ich symbolach, w ich pieśniach, odzwierciedlił się etyczny nastrój ducha, życia i pojęć narodowych. I dlatego to do naszych zwyczajów rolniczych, które mają w sobie tyle poezyi, tyle myśli, tyle cech narodowych, przywiązujemy niemałe znacznie, a przywiązujemy tembardziej, że dziś lud nasz zaniedbuje dawne zwyczaje, zapomina pieśni lub może w lekceważeniu rzeczy narodowych naśladuje tylko starszą brać, która, jak wahadło między polskim a francuskim światem, nie stanęła silnie inteligencyą na gruncie rodzimym, ale raczej z pod nóg swoich ziemię i mowę lekkomyślnie wytrąca.

Wieniec z kłosów dojrzałego żyta, w kształcie korony uwity na żniwa ostatku, jest pięknym symbolem plonów rolniczych i pracy rolnika — koroną, która na niwie skropionej jego potem wyrósłszy, ma zdobić przez cały rok mieszkanie gospodarza. Wieniec z żyta i pszenicy zawsze



Na biwaku w 31-szym roku.

niesie dziewica, co zresztą przywiązane jest do każdego wianka, jako symbolu dziewictwa. Ale wspaniały wieniec dożynkowy może nieść ta tylko która okazała się najdzielniejszą z sierpem w dłoni, była najpierwszą żniwiarką w ciągu żniwa. Ta tylko, która przodowała na polu pracy, zwana stąd przodownicą (lub postatnicą), może nieść na czele żniwiarzy wieniec z pola. Jej cnota i zasługa zostają dziś razem uwieńczone koroną z bujnych kłosów i polnych kwiatów. Symboliczny zwyczaj ten jest wspólny całemu narodowi W różnych okolicach spotykamy tylko pewne w nich odcienie, ale rozmaitość [owa na tle rodzinnego kolorytu składa jeden piękny obraz, jak harmonijnych siedm barw składa jeden łuk tęczy.

Piękne i jakby słońcem malowane są te pieśni, które wieśniacy i wieśniaczki polskie w czasie tych uroczystości śpiewają. Mnóstwo tych pieśni przytacza Gloger, wybieramy z nich niektóre.

Oto jedna z nich, śpiewana na Kujawach, gdzie obrzęd, zwany Wieńcowem, nie, jak u nas — Okrężnem, odbywa się dopiero w jesieni, po ukończeniu całego żniwa:

Całe żniwa przodowały
Wszystkich ludzi pociągały,
  Plon niesiema, plon!
Otwórz panie drzwi, pokoje
Położema plon na stole,
  Plon i t. d.
Nasz jaśnie pan jedzie z wojny,
Konik pod nim bardzo strojny,
  Plon i t. d.
Przede dworem rosną banie (dynie),
Nasza imość — malowanie.
  Plon i t. d.

Jużto i w pieśni dożynkowej — pisze Gloger— lud korzysta ze swobody, którą mu nadaje radosna dla wszystkich uroczystość chwili i nie szczędzi ostrych przycinków i grubych żartów z oficyalistów i domowników, ale nikt się za to nie gniewa, a tembardziej o zemście nie myśli. Dostaje się więc ekonomowi, pisarzowi rządcy, polowemu, lokajom, pannie (służącej), dziewkom dworskim, a nawet panu i pani. Jak tego dowodzi np. jedna z wielu następująca:

1. Nasza pani kieby łania.
Nasz ekonom kieby bania.
2. Przede dworem wisi sierp,
A nasz pisarz istny kiep.
3. A na wieczór pada rosa,
Nasz jaśnie pan kieby osa.
4. Nade dworem wielka chmura,
Nasz ekonom kieby rura.
5. A my go się nie boima,
Gdzie zajdziemy, to stoima.
6. Przede dworem biały kamień,
Nasza pani siada na nim;
7. Siada, siada, uśmiecha się,
Gdyby róża rozkwita się.
8. Nasza pani tęga, mądra,
Ale panna (służąca) zato flondra.
9. Poza dworem rośnie ruta,
Nasza panna lubi wójta.
10. Koło dworu kania leci,
Gubernantka pilna dzieci.

Dostaje się zawsze i sąsiednim dziedzicom, co wysłuchać muszą, jeżeli są w czasie Wieńcowego obecni, np.:

U naszego jegomości
Okienko szklane, da szklane,
Da u pana (tu wymieniają nazwisko)
Wiechciami poprzetykane i t. d.

Charakterystyczna jest pieśń, śpiewana w niektórych miejscowościach wielkopolskich:

U naszego jegomości — len się nie darzy,
Gospodyni pończoch niema, pan boso łazi.
Złóżma mu się po złotemu,
Kupma buty panu swemu.
U naszego jegomości — roli dwa składy,
A niemać on fornalisków — ino dwa dziady itd.

I wiele, wiele innych piosenek, mieniących się i kraśnych jak te maki polne, albo buziaki rozochoconych w tańcu dziewcząt, moglibyśmy za Glogerem przytoczyć, a wszystkie one są niejako hymnem zadowolenia z dokonanej pracy.

Szkoda zaiste, że o tych pięknych naszych starodawnych zwyczajach zaczynają tu i owdzie zapominać wieśniacy.

Nasze królestwo — to ludzkie serca, naszą służbą — ludzkie dobro, naszem szczęściem — ludzkie zaufanie.

* * *

Dusza dumna, choć bita nieszczęściem jak młotem, wstydzi się jęknąć i ból w sobie zamyka, a stąd czuje umęczenie wielkie.

CO KOCHAM?

Kocham piosenkę, w której drga ból — żałosne wielkie duszy łkanie, lecące w ten szeroki świat, w jesienne smutne rozświtanie — wśród czarnych, mokrych ról...

Kocham ten ciemny sosen bór, co szumem do snu mię kołysze i zręby czarnych chłopskich chat. Moich rodzinnych ścian zacisze i ośnieżone szczyty gór.

Kocham mą pieśń — jej ból i żal, i moją matkę osiwiałą; biały kościołek w cieniu drzew... starą dzwonnicę rozebrzmiałą jękiem, co płynie w siną dal...

Kocham rodzinną moją wieś; rzekę, co nasze niwy krasi; schylony nad nią szereg drzew, i kurhan, gdzie śpią ojce nasi, co w świętej walce padli — gdzieś...

Kocham ten prosty, wiejski lud, zgrzebną siermięgą przyodziany i wiatru północnego wiew, co pędzi niczem niewstrzymany, przenikający niosąc chłód...

Kocham samotny, stary krzyż, stojący smętnie pośród drogi, co swe ramiona w niebo wznosi, jakby słał modły w niebios progi, gdy się odezwie dzwonu spiż.

Kocham ja ptaków hyży lot i śpiew płynący nad te pola; rzekę, co las i łąki rosi, gdzie wlecze mi się smutna dola i czasem słychać burzy grzmot.

Kocham ja szmaty srebrnych przędz, co się jesienią w polach wloką; czarowną mej piastunki baśń, niosącą myśl moją daleko, odrywającą z świata nędz.

Kocham mej niani biały włos i starcze jej opowiadania... Zachodu cudnych purpur jaśń; w stawach żab w wieczór rechotania — natury kocham wielki głos!

Wacław Jaszczurowicz.

Kolonia polska w Buffalo.

Dr. Franciszek Fronczak, lekarz miejski w Buffalo, przybyły z siedmiu innymi delegatami kolonii polskich w Ameryce na uroczystości Grunwaldzkie do Krakowa, w rozmowie z jednym ze współpracowników Dziennika Polskiego podaje następujące szczegóły o Polonii buffaloskiej:

— Buffalo, oddalone od Nowego Jorku o 450 mil angielskich, liczy obecnie 500,006 mieszkańców, w czem do 100 tys. Polaków. Jest to miasto,



PERŁY.

gdzie Polacy — w całej Ameryce — najgęściej są obok siebie skupieni i zamieszkali. Mamy tu cały rynek polski z ratuszem, na wzór krakowskich sukiennic, rynek — pełen polskich naszych przekupek...

— Jak się przedstawia Polonia buffaloska i jej stan posiadania?

— Dwanaście parafii naprzód i dwanaście szkół polskich przy nich, a z nich największa przy kościele św. Stanisława dla 200 dzieci. Dzienników mamy dwa: Polaka w Ameryce z nakładem 14,000 i Dziennik dla wszystkich z nakładem 12,000 egzemplarzy. Pisma to bardzo poważne. Jest dalej do 800 sklepów polskich, ogromny browar

p. Schreibera, cenzora „Związku narodowego polskiego“. Wogóle tworzą Polacy jedną ósmą część ogółu wyborców w Buffalo wobec czego mają poważny głos we wszystkiem. Do sejmu stanu Nowy Jork, należy wybrany z Buffalo Polak p. Rożan. Bibliotek własnych mamy 7 i 10 czytelni, liczących po parę tysięcy tomów; dalej „Dom Polski“ z salą na 2000 osób. Towarzystw polskich w Buffalo ogółem jest 150, cała Polonia jednak, mimo różnic politycznych żyje w przykładnej zgodzie. Dowodem tego był w dn. 17 lipca obchód Grunwaldzki w Buffalo, który złączył wszystkie organizacye i stronnictwa, a zgromadził kilkanaście tysięcy ludzi przy obchodzie i w pochodzie. W dniu tym zainicyowano założenie w Buffalo wyższej szkoły polskiej; profesorowie przybędą częściowo z Europy, częściowo będą miejscowi. Gmachu osobnego na razie budować nie zamierzamy, tylko przy jednej z istniejących szkół będziemy stopniowo stwarzali kurs po kursie. Szkoły takiej potrzeba w Buffalo; w promieniu 40 km. jest tu kilkanaście osad polskich, miast i miasteczek, gdzie mieszka do 150,000 ludności polskiej.

— Czy żywioł polski wybija się na wierzch życia publicznego Buffalo?

— Niezmiernie, wszelkie np. cyrkularze, obwieszczenia itp. wychodzą z biura fizykatu także w języku polskim. Tak też przybija się je na miejscach publicznych, na rogach ulic itp. To też wszędzie się widzi napisy polskie na domach: „Tu panuje ospa“. „Tu panuje płonica“. „Kąpiele i łazienki miejskie“ itd. Polaków jest mnóstwo po biurach, sądach i tak dalej. W Niagara-Falls istnieje już od 10 lat bardzo piękna osada polska.

Niedaleko Buffalo jest wielki dom sierot dla 800 dzieci polskich pod pieczą SS. Felicyanek; jest on przeznaczony tylko dla wschodnich prowincyi Stanów. Dla zachodnich istnieją podobne przytułki w Detroit (stan Michigan), w Elmhurst (stan Pensylwania), w Chicago (stan Illinois), w Milwauke i w Polonia (stan Wisconsin). Wszystko to powstało przy pomocy ofiar składanych przez Polaków amerykańskich.

Życie jest ciągłą gonitwą za czemś nieuchwytnem. Człowiek biegnie wciąż przed siebie, nie patrząc pod nogi, aż nagle potyka się i wpada — w dół grobowy.

* * *

Życie jest chwilką, w której się wieki przeżywa.

Ilość kościołów i duchowieństwa katolickiego w Rosyi.

Niedawna konsekracya ks. prałata Wincentego Kluczyńskiego na arcybiskupa mohylowskiego i metropolitę wszystkich kościołów rzymsko katolickich w Rosyi stała się powodem dla gazet rosyjskich do zajęcia się statystyką kościołów i duchowieństwa rzymsko-katolickiego.

W całem państwie jest 12 dyecezyi Kościoła rzymsko-katolickiego, z ogólną ilością wiernych 13,100 tysięcy osób płci obojej. Śród owych 12 dyecezyi najliczniejszemi są: 1) warszawska, z 1,820 tysiącami parafian katolików, 337 kościołami i 570 księżmi; 2) lubelska, z 1,609 tys. parafian katolików, 412 świątyniami i 433 księżmi i 3) wileńska, 1,415 tys. parafian katolików, z 500 kościołami i 470 księżmi.

Dyecezya mohylowska liczy 1,023 500 wiernych płci obojej, przy 245 świątyniach i 399 księżach; najmniejszą jest dyecezya tyraspolska z katedrą w Saratowie, przy 530 świątyniach i 176 księżach.

Ogółem jest tedy w całem państwie 13,100,782 katolików, świątyń (kościołów i kaplic) — 5564 i księży — 4990, z metropolitą i na czele i 15 biskupami (w Warszawie — arcybiskup Popiel). Dyecezyą wileńską administruje tymczasowo Protonotaryusz apostolski ks. kanonik K. Michałkiewicz.

Należy zauważyć, że o ile w dyecezyi warszawskiej ilość księży znakomicie jest większą od liczby obsługiwanych przez nich kościołów i kaplic, o tyle stosunek ten w dyecezyi tyraspolskiej silnie się pogarsza, gdyż tam wypada jeden ksiądz na trzy świątynie (kościoły i kaplice).

Czy może kobieta żyć taniej niż mężczyzna?

To pytanie wystosowało jedno z angielskich pism do wybitnych osób świata kobiecego londyńskiego i otrzymało odpowiedzi, które w przeważającej części zgadzały się z tem, iż kobieta może żyć taniej niż mężczyzna, a to przedewszystkiem z tego względu, że ma większą skłonność do oszczędności niż płeć brzydka. „Mężczyźni są z urodzenia marnotrawcami — brzmi jedna odpowiedź — kobiety, przeciwnie, z natury są męczennicami. Są one o wiele poważniejsze, mają silniej-



Stary znajomy.

szą wolę i mają tę ogromną zaletę, że potrafią z niczego coś stwarzać. Kobieta wcale nie zważa na to, co się w życiu nazywa dobrem, bo ona zje chętniej placek niż drogie mięso, a zamiast drogich spirytualiów, wypije limoniadę. Kobieta mniej skłania się do szczodrości i lęka się wydatków, które nie są koniecznie potrzebne. Ona liczy grosze w kieszeni, czego nigdy mężczyzna nie czyni. Jest ona na tyle zawsze odważną, aby się targować z dorożkarzem o taryfę jezdną, czego nie zrobi prawie żaden mężczyzna. Stąd też potrafi ona ze znacznie mniejszą kwotą pieniężną wyjść na swoje i oszczędniej żyć. Tak też ona zawsze czyni, ale też musi sobie wiele odmawiać, czego

ostatecznym skutkiem jest przedwczesna śmierć“. Inna znów z tych zainterpelowanych w tej sprawie pań oświadcza, że kobieta z natury urodzoną jest do marzeń i sentymentalności, stąd przenosi rzeczy niemateryalne na sprawy ziemskie i materyalne przyjemności. Przeznaczeniem natury kobiecej jest miłość, stąd też często jesteśmy świadkami, że kobiety, które dotąd zupełnie nie oszczędzały, tylko ogromne sumy wydawały na stroje i różne biżuterye, w mgnieniu oka zmieniają się, gdy... poczną kochać.

Inne znów zdanie wytłómacza tę większą oszczędność płci pięknej niż mężczyzn tem, że kobiety nie mają tylu pokus, skłaniających je do wydawania pieniędzy, co mężczyźni. Nie mają mianowicie takich przyjaciół, z któremiby musiały przesiadywać po klubach i pokojach śniadankowych. Nie są tak wielkiemi wielbicielkami teatru, jak mężczyźni i nie znają tyle co oni przyjemności i rozkoszy życiowych. Kobieta potrafi się również i taniej ubrać niż mężczyzna, gdyż, jeżeli zachodzi tego potrzeba, to potrafi sobie suknię z małym trudem i kosztem sama uszyć. Kobieta ma 101 dróg do oszczędzania — brzmi ostatnia odpowiedź. Mężczyzna nie potrafi nigdy dobrze gospodarować, ponieważ on o istocie gospodarstwa domowego nie ma najmniejszego pojęcia. Kawaler jest bezradnym, gdy spostrzega, że mu w tajemniczy sposób nikną pończochy, kołnierzyki, koszule i chusteczki do nosa, podczas gdy kobieta każdorazowo po praniu przegląda najdokładniej spis bielizny. Gospodyni każdego kawalera ma możność gospodarowania wedle swojego widzimisię w jego pomieszkaniu i z jego rzeczami, podczas gdy najbardziej niedoświadczona, młoda dziewczynka potrafi dobrze nadzorować kucharkę w domu lub służącą. Ostatecznie mężczyzna wstydzi się być oszczędnym, kobieta zaś poczytuje sobie oszczędność za zaszczyt.

Kto nigdy nie znał smutku, ten kochać nie umie prawdziwie.

* * *

Nie ten bogaty, co ma skarbów krocie,
Lecz ten, co życie opiera na cnocie.

* * *

Ludzie kochający idee dla nich żyjący, to dzwony, które do świątyni zwołują ospalców.

* * *

Łzy są często rosą pokoju w sercu utrapionych.

Agitacya dobroczynna w Ameryce.

Jedno z pism angielskich pomieszcza charakterystyczny obrazek ze sposobów, jakiemi posługuje się agitacya dobroczynna pań z towarzystwa nowojorskiego.

— Niech pan nam wypożyczy wagony tramwajów elektrycznych na dobę.

Z tą propozycyą przybywa grupa dam do zarządu tramwajów we wszystkich miastach Unii. Chodzi o dzień ubogich, tak zwany „Charity Day“. Petentki występują w imieniu założonych przez siebie szpitalów dziecięcych.

— Wyczerpały się już nasze fundusze — mówią do dyrektora — pan będzie odpowiedzialny za nasze bankructwo.

— Nie przeżyłbym takiego przestępstwa — oświadcza dyrektor i dąży do kasy ogniotrwałej. Panie zastępują mu drogę.

— Nie, nie chodzi o jałmużnę, ani o szantaż — przekłada mówczyni grupy. — Chciałybyśmy dostać wszystkie miejskie tramwaje na dobę.

Rzecz załatwiona. I oto w takim a takim dniu konduktorzy i motorowi mają ferye nadprogramowe, a ich miejsce zajmują panny w białych sukniach, które poprzednio wdrażały się w te funkcye.

W dniu oznaczonym, o godz. 5 i pół rano, najładniejsze misses zajmują stanowiska. Na tramwajach wywieszono napisy: „Charity Day (dzień miłosierdzia). Hasłem jest: „no change“ (reszty się nie daje). Kto chce jechać, musi płacić dolarami. Co chwila słychać: „No change“. Zarząd tramwajów żąda tylko pokrycia swoich kosztów, wyrzekając się wszelkiego zysku. A zysk czysty bywa duży. W Nowym Jorku dochodzi do kilkudziesięciu tysięcy dolarów.

W podobny sposób zasilane bywają inne instytucye dobroczynne. Panie wynajmują magazyny mód, ba, nawet redakcye. A wtedy pisma pojawiają się z różnemi figlami. W rubryce ze świata znajdują się różne europejskie tajemnice toaletowe, w rubryce „sprawy miejskie“ burmistrz otrzymuje rady, jak ma strzydz wąsy, jeżeli chce się podobać damom. Kasyerki przyjmują abonament na „Numer dobroczynny“, otrzymują pieniądze za umieszczanie anonsów i reklam w tym numerze. I znowu rozbrzmiewa: „no change“. Roznosicieli pism wyręczają ładne „misses“, wykrzykujące dyszkancikiem: „Charity Day nummer, please!“ Dochód z tego źródła bywa jeszcze większy, niż z tramwajów.



Przy dźwiękach gitary.

Ilu ludzi zdolna wyżywić ziemia?

Na to pytanie rozmaci rozmaicie odpowiadają. Tak np. żyjący pod koniec 17. w. Holandczyk Leeuwenhock przypuszczał, że planeta nasza zdolna pomieścić i wyżywić 13 i pół miliarda ludzi; w czasopiśmie „Woche“ podaje ktoś liczbę aż 200 miliardów, wychodząc ze założenia, że za pomocą środków chemicznych można z 1 km. kwadratowego roli wyprodukować 150.000 kg. białka, co starczyłoby na wyżywienie 4000 ludzi. Inni, jak Ravenstein, podają liczbę 6 miliardów, Fircks 9 miliardów; najostrożniejszy zaś ze wszystkich, Rudolf Schulze, jest zdania, że najwyższa liczba, jaką ludność kiedykolwiek osiągnąć będzie mogła, nie przeniesie 3 miliardów.

Nim się przypatrzymy tym obliczeniom, należy sobie uprzytomnić obecny stan zaludnienia ziemi. Kula ziemska posiada 132 miliony kilometrów kwadratowych stałego lądu. Na tej przestrzeni żyje obecnie okrągło 1600 milionów ludzi. Większa połowa rodu ludzkiego zamieszkuje Azyę, czwarta część przypada na Europę, reszta na Amerykę, Afrykę i Australię. Widzimy więc, że gęstość zaludnienia bardzo jest rozmaita. Zależy ona od klimatu i kultury. Podczas gdy w środkowej Europie przypada 50 ludzi na kilometr kwadr. w Lombardyi i Kampanii liczba ta wzrasta do 150, w Indyach i na Jawie do 300 na kilometr kwadr. Trzy główne środowiska ludzkie stanowią: Środkowa Europa, Indye i Chiny wraz z Japonią. W Azyi powodem gęstości zaludnienia jest nadzwyczajna urodzajność ziemi i klimat, umożliwia-

jący kilkorazowe sprzęty doroczne, w Europie przemysł, zatrudniający w swych warsztatach miliony rąk i dający bądź to bezpośrednio, bądź pośrednio utrzymanie nieprzejrzanym rzeszom pracujących.

Zaznaczyć należy, że z wzmiankowanych poprzednio 132 kilometrów kwadratowych stałego lądu naszej planety 100 milionów kilometrów kwadr., a więc trzy czwarte całego obszaru, bądź to zupełnie są niezamieszkałe, bądź nikłą tylko mają liczbę ludności. Z resztujących 32 milionów kilometrów kwadr. 13 milionów kilom. kwadr. jest słabo zaludnionych (1—10 ludzi na 1 km^2); dalsze 13 mil. kilom. kw. liczą 10 do 59 ludzi na km^2, są zatem średnio zaludnione. Z pozostałych 6 mil. kilom. kw. połowa żywi 50–100, druga połowa 100 i więcej ludzi na kwadratowym kilometrze; znaczy to, że te części ziemi są dobrze, a nawet, o ile mają więcej jak 100 ludzi na kwadr. kilometrze, bardzo gęsto zaludnione.

Tak się ma sprawa obecnie. Jakież są widoki na przyszłość?

Otóż uczeni zgodni są co do tego, że ziemia jeszcze daleko więcej ludzi, niż obecnie, wyżywić zdolna, lecz nie mogą się zgodzić co do oznaczenia granicy, poza którą rozpocznie się przeludnienie. Widzieliśmy już, jak rozmaicie te obliczenia wypadają. I tak dzieli tedy Ravenstein stały ląd ziemski na 3 główne rodzaje: A) na ziemię zdolną do intenzywniejszej uprawy, mogącą wyżywić po 80 ludzi na 1 kilometrze kwadratowym. Takiej ziemi widzi na przestrzeni globu naszego 73‘2 miliony kilometrów kwadratowych. Następnie B) na pastwiska (36 milionów kilometrów kwadr.), mogących wyżywić po 4 ludzi na przestrzeni kilometra kwadratowego i C) na pustynie (10‘8 milionów km. kw.), mogących wyżywić na kilometr kw. 0‘4 człowieka. Według Ravensteina więc 120 milionów kwadratowych kilometrów ziemi podatnych jest służyć ludziom za miejsce zamieszkania i wyżywienia. I tak mogłoby tedy według tego obliczenia żyć na ziemi pod literą A) wyszczególnionej 5856 milionów ludzi, na ziemi B) 144 milionów, na ziemi C) 4 miliony — razem 6004 miliony ludzi na całym świecie. Ten sam podział ziemi przyjmuje także Fircks za słuszny, lecz przypuszczając większe zagęszczenie ludności na ziemi B (20 ludzi na 1 km. kw) i na ziemi C (4 ludzi na 1 km. kw.), dochodzi do olbrzymiej cyfry 9000 milionów czyli 9 miliardów ludzi jako możliwe kiedyś zaludnienie najwyższe globu ziemskiego.

Mniej optymistycznie zapatruje się Rudolf Schulze na te sprawy. Nasamprzód utrzymuje, że na kuli ziemskiej nie masz 120 milionów kilometrów kwadratowych ziemi, któraby mogła wogóle ludzi żywić. Odsetek absolutnych, nieużytków w strefach podbiegunowych, gór, pustyń bezpłodnych i to znacznie większy niż przypuszczają Ravenstein i Fircks. Następnie nie wierzy Schulze, aby kiedykolwiek przeciętne zaludnienie uprawnej ziemi mogło być tak znaczne, jak to pp. R. i F. podają. Prawda jest — powiada — że tylko 3 miliony km. kw. ziemi obecnie silnie są zaludnione, lecz nie podobna przypuścić, by reszta ziemi mogła znieść podobnież gęste zaludnienie. Podstawowym bowiem tegoż warunkiem jest istnienie dostatecznej przestrzeni dla zbóż. przedewszystkiem dla uprawy pszenicy. Tym czasem dzisiaj już Niemcy i Anglia są wskazane na przywóz zboża. W Niemczech n. p. sprzęt pszenicy wynosił w ostatnich latach w przecięciu 3,5 milionów ton, przywóz zaś 2 mil. ton. Gdyby więc Niemcy same się używić chciały, musiałby areał pszenicy nieomal że podwoić, to znaczy, że potrzebowałyby 34000 km. kw. roli na samą pszenicę, t. j. czwartą część całej przestrzeni rzeszy niemieckiej. Są wprawdzie w Europie liczne nieużytki, które można doprowadzić do kultury, z tych wszakże niestety połowa, t. j. 100000 kwadr. kilometrów leży na północy, zatem dla ostrożności klimatu do uprawy zbóż nie jest sposobna. A i reszta mogąca być uprzystępniona uprawie, nie wiele ma znaczenia. jeżeli się n. p. pomyli, że sama Anglia powinna rok rocznie kultywować po 260 km. kwadr. ziemi więcej, gdyby chciała wyżywić wciąż przyrastającą ludność.

Gdzież tedy znaleźć wielkie podatne dla hodowli zbóż przestrzenie? W Stanach Zjednoczonych Ameryki dziewiczej ziemi już nie masz. Od r. 1903 nie powiększył się tam obszar zasiany pszenica, a obejmujący 200 tysięcy kilometrów kwadratowych. W Hanadzie, gdzie pszenice się uprawia na przestrzeni 12000 km. kwadr., można można uzyskać 4 razy tyle. Także gszenne obszary Argentyny i Uruguavu (35000 km. kwdr.) trzykroć pomnożyćby można. W Azyi Syberya posiada wielkie płaszczyzny, stosowne dla pszenicy, lecz wielka jest też tam imigracya. Zaś w Australii trudno będzie więcej uprawiać pszenicy niż obecnie i to z powodu niepodatnego ku temu stosunku opadów atmosferycznych.

Cały areał pszeniczny na kuli ziemskiej obliczył r. 1900. H. Wagner na okrągło 800 tysięcy km. kwadr. Ponieważ z powyżej powiedzianego wynika, że obszaru tego nie łatwo będzie podwoić, a powiększenie jego poza tę granicę zdaje



CHARTY.

się być wykluczonem, przeto należy razem z sir. Williamem Crookesem upatrywać najważniejszą możliwość wyżywienia ciągle mnożącej się armii ludzkiej w zwiększeniu samejże wydajności ziemi. Że to niemożliwe, wykazuje następujące zestawienie przeciętnych sprzętów po poszczególnych krajach. I tak sprząta z hektara: Dania 36 hl., Niemcy 19 hl., Austrya 14 hl., Azgentyna 12 hl., Stany Zjednoczone Ameryki 11 hl., Rosya 8 hl., nareszcie Australia 7 hl.

Ponieważ jednak podwyższenie wydajności ziemi zależne jest od samejże natury ziemi, warunków klimatycznych i t. d., a przestrzeni, służącej pod uprawę zbóż, nie można więcej już jak podwoić, przeto sądzi Schulze, że się nie omyli, jeżeli przyjmie liczbę 3 miliardów jako maksimum, które liczebność rodu ludzkiego na globie ziemskim kiedykolwiek osiągnie. To zaś może stać się w przeciągu mniej więcej dwustu lat, jeżeli przyrost ludności pozostanie ten sam, co w ostatnim stuleciu. Roku 1800 bowiem było na świecie 1000 milionów ludzi, obecnie mamy ich 1600 milionów, a więc przyrost wynosił rocznie 4 proc.

Byłyby to istotnie nie wesołe widoki, gdyby Schulze miał słuszność. Jednakże zdaje się, że nie docenia on należycie tego, na co William Crookes wskazuje, t. j. możliwości dalszego zwiększenia ziemi, na której wspomniane na początku tego artykułu „Woche“ oparto. Nie potrzeba też koniecznie akceptować podanej tam wprost potwornej liczby 200 miliardów. Jeżeli jednak przypomnimy sobie, co przed kilku tygodniami „Rusticanus“ pisał w „Pracy“ o doświadczeniach Rosyanina Demczyńskiego, który zdołał wyprodukować z morga 61.06 ctr. żyta, natenczas pogodniejszem okiem będziemy patrzyli w przyszłość.

Bądź jak bądź dla nas, dla dzieci, wnuków i prawnuków naszych starczy jeszcze chleba na ziemi. A więc śpijmy spokojnie.

DLA ROZRYWKI

Gry towarzyskie.

Turniej alfabetyczny.

Towarzystwo zasiada kołem, a jedna z osób, obrana loseem, wymienia swoją ulubioną literę. Sąsiadka prosi ją, ażeby tego dowiodła, wskutek czego poprzednia wygłasza całe zdanie, w którego każdem słowie musi być chociaż jedna lubiana przez nią głoska. Jeżeli zaś w jednem słowie głoska ta znajdzie się dwa razy, to dla ułatwienia grającym, w następnym wyrazie może jej nie być wcale (ważne przy łączeniu zdań spójnikami!)

W odpowiedzi sąsiadka powinna także wymienić ulubioną głoskę i skomponować zdanie na takich samych warunkach, ale stanowiące niejako dalszy ciąg poprzedniego. Może także oświadczyć, że nie jest zwolenniczką wymienionej litery i skomponować zdanie, w którem tej litery wcale nie będzie.

Podajemy krótki wzór tej bardzo dowcipnej i pouczającej zabawy. Przypuśćmy, że przyjmuje w niej udział sześć młodych panienek: Marya, Zofia, Janina, Stanisława, Eugenia i Wanda.

Marya. Podług mnie, najpiękniejszą głoską w alfabecie jest A. Wszak od niej zaczynają się takie imiona, jak: „Aspazya, Aleksander, Apollo, Anatol,“ a w botanice: „ananas, aster, aloes, akacya, arbuz i t. p. Można powiedzieć całe zdanie, w którego każdem słowie będzie ta litera. Posłuchajcie:

„Wesoł*a* zab*a*w*a* poleg*a* na tr*a*fnym ukł*a*dzie, *a* t*a*kże n*a* uw*a*dze rozb*a*wionych p*a*nien.“

Zofia. „Zgoda. *A* łatwo zastosować, układając zdanie; głoska ta zanadto uparcie wikła pamięć. Ja sama np. mimowoli złożyłam dość długie zdanie na *A*. Ale dlatego właśnie litery *A* nie cierpię i odpowiem zdaniem, w którem *A* nie będzie ani jednego: „Oczywiście, jeżeli będziemy smutne i niechętne, to nic nie pomoże wybór i ułożenie sposobu rozrywki.“

Janina. Doskonale wywiązałaś się z zdania, droga Zosiu, a twój żart obudził we mnie sympatyę do litery *O*, którą bardz*o* częst*o* sp*o*tykamy w r*o*zm*o*wie, czeg*o* d*o*wi*o*dłam p*o*mim*o*w*o*li.

Stanisława. A to zabawny pojedynek liter. Proponuję, ażebyśmy zrobiły turniej, w którym każda z nas wyda wojnę, albo zaopiekuje się jedną literą; niech Mania zostanie przy swojem *A*. Co do mnie, oświadczam się z sympatyą dla *M*.

Eugenia. A ja dla *S*.

Wanda. Ja zaś wezmę w opiekę *E*.

Stanisława. Zaczynam (zwracając się do Eugenii): *M*oje *m*yśli od*m*awiają *m*i przyto*m*ności. Po*m*óż, naj*m*ilsza.

Eugenia. *S*ama *s*iebie w*s*pieraj, Sta*s*ieczko. Pro*s*zę *s*ąsiadki o za*s*tęp*s*two.

Wanda. J*e*ż*e*li chc*e*sz koni*e*czni*e*, śpi*e*szę spełnić twoj*e* żądani*e*, albowi*e*m j*e*st wcal*e* ni*e*trudn*e*: moj*e* *E* wszędzi*e* daj*e* si*ę* najłatwiej pomi*e*ścić.

Marya. T*a*k, n*a*tur*a*lnie; z*a*b*a*w*a* to n*a*dzwycz*a*j interesują*ca*, j*a*kkolwiek nie mogę..

Wszystkie. Fant, fant. „Nie mogę“ nie ma litery *A*.

Marya (oddając rękawiczkę). Płac*ą*c f*a*nt ręk*a*wiczk*ą*, stwierdz*a*m: m*a*cie r*a*cyę.

I tak dalej.

Toaleta.

Jeden z grających stoi w środku, a wszyscy siedzą kołem. Noszą oni nazwy przyborów toaletowych, jak: pomada, perfumy, szpilki, igły, róż, blansz, puder, grzebień i t. d.

Osoba, stojąca w środku, mówi: „pani prosi o perfumy.“ Wywołany powinien niezwłocznie przybiedz do pytającego, a ten stara się zająć jego miejsce; jeżeli mu się to uda, to ubiegnięty staje w kole, daje fant i gra ciągnie się j. w. Jeżeli sługa powie: „pani prosi o całą toaletę“ — to następuje ogólna zmiana miejsc. Kto nie zdąży usiąść, daje fant, jak również i ci, którzy zostali na poprzednich miejscach. Jeżeli sługa zażąda przedmiotu, którego niema na toalecie, to także daje fant.

Łamigłówki.

Szarada.

Pierwsze-czwarte, to miasto dobrze znane z cudu.
Postrachem *pierwsza-druga* jest zawsze dla ludu.
Pierwsze-trzecie narkotyk używany wszędzie.
Cała spotkasz w pustyni, jak przeciągać będzie.

J. B.

Zagadka.

Głoska na przedzie,
Reszta kieruje,
To rządy wiedzie,
To wodę pruje.
A razem obie
Są kwiatkiem sobie.

Dokładne rozwiązania łamigłówek prosimy nadsyłać najpóźniej do 25. sierpnia na ręce redakcyi.

Z rozwiązań trafnych 4 odznaczone zostaną nagrodą.

Nazwiska osób, które dobre nadeślą rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w nr. 36.

Rozwiązania

łamigłówek zamieszczonych w nr. 32.:

I. **Arytmogryf:**

Rok Grunwaldzki
Oda
Kraków
Gorki
Rana
Urna
Nora
Wrona
Anna
Loara
Diana
Zagadka
Koniak
Iazon

II. **Metagram**: lud — lód.

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z Galicyi:

pp. Wł. Baner, Tadeusz Biernakiewicz, Władysław Bogacki, Tadeusz Burzyński, Konstanty Cag, Michał Chciuk, Justyn Cholewik, Teofil Francké, Edmund Gibisz, Józef Głuszak, Jan Habela, Walerya Jankowska, Fr. Kądziela, E. Kamiński, M. Koczwara, Henryk Królicki, Juliusz Krzysztofowicz, Anna Kubala, Zofia Müllerówna, Helena Mycoń, Kazimierz Nowosielski, Karol Pacuła, Józef Poncza, ks. Franciszek Rachel, Stanisław Rogowski, Eliasz Schmukler, Matylda Siostyonkówna, Maryla Spitzerówna, Józefa Steindl, Aleksander Stobiecki, P. Stolarzewicz, Adam Świerkosz, Natalia Szczepańska, Kazimierz Szeliga, Władysław Trybała, Anna Wełnianka, Z. Zaremba.

Z Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska:

pp. Marya Baranowska, A. Bętlejewski, Wanda Bocheńska, Franciszek Ciałoń, Tomasz Cichowski, T. Czabajska, H. Czarlińska, Janinka Fryderówna, Halina Hoppówna, „Janek z pod Góry Przemysława“, Mieczysława Jarmużówna, Stefania Jaworowska, Halinka Jordanówna, Zofia Karasiewicz, Alfons Konopiński, Nikodem Kosmolski, Zofia Kowalska, Zygmunt Krajewski, A. Kujawski, Lech Kwieciński, Jaśka Lesicka, W. Leszczyńska, Stanisław Markowiak, Jóta Nalaskowska, Felicya Nawrocka, Fr. Nawrocka, Jadwiga Nowak, Julcia Ozdowska, H. Piechocki, Helena Piechowiak, Stanisław Pietrzak, Ludwika Polaszyk, Piotr Promiński, Z. Przybyszewska, St. Schoepe, Marya Stabrowska, Zofia Starkówna, Jan Strugarek, „Szarotka“, Zofia Wachowska, Tadeusz Węclewicz, Wiktorya Wendorff, Ludwika Wyrzykowska.

Z obczyzny i zagranicy:

pp. Stefania Dużyńska z Dolnych Łużyc (Brandenburgia), Hieronim Jaworowski z Drezna, Wawrzyniec Rapiór z Oberhausen (Nadrenia), Anusia Steltinger z Wiednia, Władysław Sokołowski z Berlina.

Nagrodę otrzymali:

pp. Mieczysława Jarmużówna z Ryszewa (pow. żniński), Aleksandra Korotkiewiczowa z Kulikowa, Władysław Trybała z Lwowa, Wiktorya Wendorff z Ołoboku pod Ostrowem.

Od Administracyi.

Wszelkie reklamacye są wolne od opłaty pocztowej.

Zwracamy jednakowoż Szan. Czytelnikom uwagę na to, iż reklamacye koniecznie muszą być nadesłane w **otwartej** kopercie. Reklamacyi w zamkniętych kopertach niefrankowanych nie przyjmujemy, ponieważ poczta liczy nam za nie podwójne porto.

Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu
Czcionkami „Dziennika Poznańskiego".

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

WRZOS

POWIEŚĆ. NR 34

(Ciąg dalszy).

— Zuch dziecko! Że też masz czas na wszystko!

— A cóż tu tak bardzo jest do roboty? Trzy konie na stajni: kucharka, lokaj, młodsza, pralnia, targ, siedem pokoi do utrzymania w porządku, rachunek i dyspozycya wieczorem. To żarty taka robota, byle rano wstać i mieć pamięć w porządku.

— Spytaj inne panie, co o tem mówią. Nigdy na nic nie mają czasu.

— Bo się tak urządzają. Tunia wstaje o dziesiątej, ubiera się półtorej godziny, ciągle ktoś do niej wpada, gadają sobie nowinki. Potem biega z wizytami, potem niby coś kupuje i ogląda sklepy. Naturalnie, że nie ma na dom czasu.

— No, a ty, co robisz, jak się nas pozbędziesz?

— Idę do kuchni, potem do stajni, potem jadę konno ze Staśkiem, aż za rogatki, potem wracam, zaglądam znowu do kuchni i lecę do Ramszycowej. Tam bawię do piątej, wracam, kupuję po drodze co mi potrzeba i szykuję dom i obiad na wasze przybycie; jeśli mam chwilę czasu, szyję trochę, po obiedzie czytam, piszę listy, robię dzienne rachunki, sprawdzam kasę i kładę się spać. Nigdy nawet nie bywam zmęczona.

— Dziś ci gawędą popsułam konny spacer. Czemu mnie nie wypędzisz? Jużbym wcale z domu od ciebie nie wyłaził.

— Nie miałam jechać, bo Stasiek chory, a Walenty przekuwa klacze. Zresztą dla tatka nawetbym Ramszycową opuściła.

— To dosyć powiedzieć! — zaśmiał się. — No, już idę! Zbałamuciłaś mnie starego kompletnie.

Ucałował ją i wyszedł. Przeprowadziła go do przedpokoju, dopilnowała, czy miał ze sobą cygara, zapałki, klucz od zatrzasku, i pożegnała serdecznie.

Po chwili i ona zeszła na podwórze, niosąc koszyczek z łakociami dla chorego Staśka.

— Stajnia była w rogu podwórza — i tam też obok koni Stasiek miał posłanie.

Chłopak już od pewnego czasu był niewesoły, blady, milczący. Zamiast gwizdać, śpiewać, droczyć się z dziećmi i kobietami na podwórku, siadywał godzinami na progu stajni, patrząc bez-

myślnie przed siebie; potem kucharka doniosła, że jeść nie chce, a wreszcie pewnego dnia z posłania swego nie wstał, i oto już tydzień leżał. Kazia sprowadziła lekarza, ale ten obejrzawszy chłopca, zdecydował, że ma trochę febry, zresztą nic groźnego. Brał Stasiek lekarstwa, ale nie wstawał. Dziś uderzył Kazię jego wygląd mizerny; w oczach niknął i sechł. Zaniepokoiła się na seryo.

— Jakże ci, Staszku, nie lepiej? Nie chcesz czego? — spytała troskliwie.

— Dziękuję, jaśnie pani, nic mi się nie chce. A boleć, to wszystko boli. Chyba, że już umrę — odparł apatycznie. — Nijak mi się żyć nie chce.

— Nie wstyd ci tak gadać. Taki zuch byłeś.

— Pewnie że mi wstyd, i to mnie najmocniej gryzie.

Wtulił głowę w posłanie i począł szlochać.

Stała nad nim bezradna, gdy wtem przed drzwiami stajni przeszedł rządzca domu i doktor Downar. Tedy bez namysłu wyskoczyła na podwórze, i dogoniła doktora na progu sutereny.

— Przepraszam pana profesora, że go zatrzymuję. Ale mam tu o krok chorego. Proszę mu poświęcić chwilę czasu.

Downar natychmiast się zwrócił, rządzca jej się głęboko ukłonił, podała mu rękę.

— Proszę pana profesora! Pacyent jest w stajni — uśmiechnęła się, idąc naprzód.

— To nasza młoda pani — szepnął rządzca.

— Wiem! — odparł krótko Downar.

Wszedł do stajni, obejrzał Staszka, który przerażony wejściem obcych panów przestał płakać, i tylko nosem pociągał.

— Czegoż ty płaczesz chłopcze?

— Albo ja wiem. Tak mi coś piecze na wnętrzu, a jaśnie pani mnie pożałowała, tom się nie mógł strzymać.

— Ty tutejszy?

— Gdzie zaś, ja ze wsi od jaśnie pani z kuńmy przyjechałem.

— No, dźwignij się — niech cię osłucham!

Kazia z rządzcą odstąpili za drzwi. Dobre pięć minut trwała konsultacya, nareszcie Downar zbliżył się do nich.

— Cóż mu jest, panie profesorze?

— Nic. Nostalgia. Człowiek kultury toby przebył lekko, jak katar; człowiek natury może to życiem zapłacić. Dla niego lekarstwo: bilet na kolej do domu, a za tydzień tam będzie zdrów jak ryba.

Patrzała nań uważnie, i on z niej oczu nie spuszczał, oczu poważnych badacza i mędrca, i dodał z lekkim, smutnym uśmiechem:

— I pani na to cierpi.

Poczerwieniała i uśmiechnęła się z przymusem.

— Profesor gorszy niż spowiednik, bo odgaduje cierpienia! Dziękuję bardzo za radę i natychmiast chłopaka odsyłam po zdrowie. Przepraszam za taką napaść na podwórzu. Jestem Sanicka! Znamy się ze schodów bardzo dobrze!

Podała mu rękę, którą nieśmiało wziął w swą olbrzymią łapę i delikatnie uścisnął...

Potem poszli razem ku bramie, on milczący, bo bardzo był towarzysko nieokrzesany, ona pociągnięta doń wielką sympatyą, jakby go znała lata. Mówiła mu o Staszku, potem o tem mnóstwie nędzy i biedy miejskiej, którą poznała za pośrednictwem Ramszycowej.

— To panie razem pracują! — rzekł. — To dobrze! Pani Ramszycowa prawdziwy, porządny człowiek. Zeszłego roku pracowaliśmy razem; teraz tam jest kolega Rajewski. Dobrze paniom pomaga?

— O, bardzo staranny! — odparła krótko.

Tu Downar coś sobie przypomniał, i stanął.

— Ale — a toż ja miałem iść do jakiejś szewcowej. — Moje uszanowanie pani.

— A ja muszę choremu oznajmić radosną wieść! — przypomniała ona także i rozeszli się.

Staszek przyjął ją niespokojnem spojrzeniem.

— Proszę jaśnie pani, pewnie ten nowy doktor kazał mnie do szpitala odwieźć.

— Wcale nie, kazał cię do domu odesłać, bo ci tutejsze powietrze nie służy. Cóż, rad z tego jesteś?

Chłopak usiadł na posłaniu; oczy mu pojaśniały.

— Do dom! — powtórzył. — O la Boga, dziwo, że radbym, ale się wstydam i boję. Ośmieją mnie ludzie, a akonom spierze, a panu dziedzicowi jako oczy pokażę? Takem się rwał, upierał jechać, a ot kwartału nie wysłużyłem.

— Ale masz ochotę wracać?

— Jako że nie? Od tego smrodu i ciasnoty i terkotu do naszych pól! Niech się jaśnie pani spyta ot tej kasztanki. Ino jej spytam: Łośka chciałabyś do dom? to głowę odwróci i rży, i targa uzdzienicę! Ktoby nie chciał? Teraz u nas już pożęli i zwieźli, pachnie rola pod oziminy, okrutnie głos po łanie idzie. Ino w konie i śpiewaj! O Jezu!

Podrywało go z posłania, policzki nabiegały krwią.

— Wrócisz, Staszku, wrócisz! Czemuś mi pierwej nie powiedział, że ci tu źle? Dawnobym cię odesłała.

— Wstyd mi było przed ludźmi i przed jasną panią. Mocowałem się, myślę, jaśnie pani jednako się nudzi i cnie, a przecie nie wraca.

Uśmiechnęła się, a on ośmielony mówił dalej:

— Jak tu ludzie żyć mogą, to ja wcale nie rozumiem. Toć tu zaduch, chleb i woda śmierdzi, w głowie się przewraca od hałasu, toć tu trawa rosnąć nie chce, drzewina schnie, pies nawet nie szczeka, a koń jak parsknie, to ino ze wstrętu od tego kurzu i dymu. Kamieni nakładli, nastawiali, jakby kryminał!

Ludziska też blade, brudne, niewesołe. Jak sobie nawet podpije, to ino klnie. Juści prawda, co mi nieboszczka matka mówiła, że Pan Jezus zrobił wieś i dwór, a czarny kamień nazwłóczył i pobudował miasto i w niem mieszka. Dlatego ino kamieniom tu swojsko, a wszystko, co Boże, to tu w niewoli ino siedzi. Bo i prawda ptaszek w klatce, pies w kagańcu, koń w uprzęży, drzewo za kratką, woda w rurze, zboże w worku, kwiatek w garnuszku, wół w rzeźni, — po woli nic tu nie jest.

Poszedłem do kościoła, pacierz mówię, a tu mi ktoś dwa złote z kieszeni ściągnął, takci się modlą psiawiary! Zaprowadził mnie Walenty w niedzielę do bawaryi, to mnie sprali jakieś pijaki za to, żem im fundować nie chciał, i przekpiwali sobie, żem chłop głupi! A oni sami podłe narody, co nawet Bożego pola na oczy nie widzieli i ze zdroju wody się nigdy nie napijają!

Rozsierdził się okrutnie, aż się sam opamiętał i pocałował jej rękę.

— Niech mi jaśnie pani wybaczy!

— Mów śmiało chłopcze. Żal mi cię będzie, ale się cieszę, że wrócisz, pozdrowiejesz. Dam ci do pana dziedzica list, żeby cię dobrze przyjęli. Tylko się teraz staraj prędko moc odzyskać, bo cię chorego nie wyprawię!

Skinęła mu głową dobrotliwie i poszła.

To wszystko, co on czuł, i ona czuła, i idąc zamyślona przez podwórze, rozważała, czy też oswoi się kiedy, nawyknie, przestanie tęsknić za łanem i borem, ciszą pól, zapachem łąk i gajów, za pracą i wczasem wsi ukochanej.

Rozstroiła ją rozmowa, żal jej było chłopaka, który był jej wspomnieniem straconego życia i czynu, zazdrościła mu, że może wrócić! Potrzebowała wysiłku woli, by nie marzyć bezczynnie.

Zmusiła siebie i myśl i wzięła się do zwykłych zajęć. O dwunastej, jak zwykle, poszła do Ramszycowej. Zastała ją już ubraną do wyjścia, wyprawiającą do ogrodu Botanicznego angielkę z małą.

Wolant stał przed pałacykiem.

Wsiadły, Ramszycowa dała jej spis nędzarzy, i wzięła lejce do rąk.

Mówiły zwykle po francusku, bo Ramszycowa źle władała polskim.

— Mostowa 7, Marjensztad 3, Solec 15 — recytowała Kazia.

— Dziś i połowy nie załatwimy, bo mamy sesyę ubogich matek i wizytę biskupa w ochronie. Wykłóciłam się dzisiaj okropnie z Ramszycem. Wyobraź sobie, śmiał mi zabraniać roboty; powiada, że podobno na Powiślu jest cholera. Może i w Samarkandzie, powiadam, zresztą myję się codzień, surowych ogórków wodą nie popijam, a roboty nie porzucę, nawet żeby była dżuma! Żeby milczał, nicbym nie dodała, ale że mi powiedział, że mam obowiązek się oszczędzać, więc wpadłam w ferwor. Przypuśćmy — powiadam — że umrę na cholerę, dziury w niebie nie będzie, a ty weźmiesz drugą, która ci lepiej będzie dogadzała. Zajmie się strojami, plotkami i reprezentacyą, godną twoich milionów. Mnie już nie przerobisz.

— Poco mu było robić przykrość? — upominała Kazia. — On jest taki dobry i kochający.

— Żeby był zły i nie kochał, dawnobym go rzuciła — zaśmiała się Ramszycowa. — Ale mu przecie nie mogę pozwolić gadać sobie obelgi. Mam przez tchórzostwo i egoizm roboty zaprzestać! On tego zrozumieć nie może, że nagromadzenie milionów w jednych rękach jest grzechem, i żebym przez sekundę opuściła swe zadanie, i zapomniała o nędzy, toby nas dotknęła klątwa Boża! Patrz, to twój mąż. To on tutaj ma biuro! Wstrzymała trochę konie, ażeby nie wyprzedzać powozu, w którym siedział Andrzej i pani Celina. Wracali widocznie ze spaceru w Łazienkach.

Cień przeszedł po twarzy Kazi, a w tem Andrzej się obejrzał i skrzyżowały się ich spojrzenia. Odwrócił głowę i coś powiedział do stangreta.

Powóz ruszył szybko i skręcił na Wilczą.

— To jest już nawet więcej, niż dobrze wychowany człowiek. To kanalia! To także grzech, z którego świat się tolerująco uśmiecha, ale za który trzeba będzie odpokutować.

— Nie prorokujże strasznych rzeczy! — uśmiechnęła się Kazia. — Doprawdy, dla mnie to obo-

jętne! Niech się kochają i afiszują — okrywa to mnie śmiesznością, ale i to mi jest obojętne. Zresztą on mnie nie oszukiwał, wiedziałam jak jest.

— To jest grzech dla was obojga. Nie robi się drwin z religii i nie krzywoprzysięga się, ot tak — od śliny! Okaże się z czasem, kto był winniejszy.

— A to w jaki sposób?

— Przysięgaliście sobie fałszywie miłość. Za to albo ty w nim, albo on w tobie rozkocha się bez wzajemności! To będzie pokuta! A kto winniejszy, ten ją odcierpi.

— Nie ja! — odparła Kazia.

— Zobaczymy! — zakończyła Ramszycowa, zatrzymując konie przed starą odrapaną kamienicą na Solcu, i zajęła się swoją „robotą".

Kilka godzin zeszło w gorączkowem zajęciu, dopiero, gdy wysiadły na chwilę w lecznicy, przypomniała sobie Kazia Downara i załatwiwszy zwykłą czynność, spytała o niego Ramszycowej.

— Ano — musieliśmy się rozstać. Ja mu chciałam płacić, a on się uparł, że tylko darmo może leczyć biedaków. Oboje mieliśmy racyę, ale ja nie chciałam ustąpić, więc on mi zarekomendował Rajewskiego. Z tym o płacenie niema kwestyi, przeciwnie leczy tak, jakby robił to z łaski! O! Downar to śliczna dusza. Bywa czasami u mnie, i lubię te wieczory. Ja mu gram Szopena, on słucha i milczy, bawimy się bajecznie.

— Przyjmijcie mnie do „trójki", — rzekła Kazia. Muzyka w skupieniu po pracy, wieczorem, co za wypoczynek i zdrowie.

— Pierwszy raz, jak się zjawi, zawiadomię cię. Czy już wracasz do domu? Wstąp do mnie.

— Nie mogę. Piąta dochodzi.

Uścisnęły sobie dłonie i Kazia ruszyła pieszo Marszałkowską, wybierając prawą stronę, gdzie mniejszy był tłok, nie patrząc ni w prawo ni w lewo, nie zatrzymując się przy wystawach, biegnąc prawie, tak jej zawsze było przykre wędrowanie w masie próżniaczej ludzkości, tak ją drażniły ciekawe spojrzenia mężczyzn, potrącanie wystrojonych dam.

Przechodząc koło sklepu ogrodniczego, wstąpiła po kwiaty do ubrania stołu; ledwie otworzyła drzwi, chciała się cofnąć, ujrzawszy Andrzeja, ale po sekundzie wahania podeszła do sprzedającej panny, która zdawała resztę, i rzekła:

— Proszę o kilka róż i paproci.

Andrzej drgnął, obejrzał się.

— Pani już wraca? — spytał.

— Wielki czas, jeśli pan też wraca na obiad! — odparła wybierając kwiaty.

— Mam jeszcze wstąpić za interesem, ale szedłem do domu, żeby panią spytać, czy nie poszlibyśmy dziś do teatru.

— Razem? — poruszyła brwiami, wzięła kwiaty, zapłaciła, i wyszli razem. Na ulicy dokończyła spokojnie:

— Dla pana byłby to przymus, a dla mnie przykrość, a ponieważ ludzie chodzą do teatru, żeby się bawić, nie będę panu rozrywki swą osobą psuła.

— No, i sobie pani w ten sposób przykrości oszczędzi — rzekł urażonym tonem.

— Zapewne, bo nie znoszę tego, by komuś zawadzać swą osobą i krępować swobodę.

— Bardzo jestem pani wdzięczny.

Ale był zły, niewdzięczny. Skinął na dorożkę, siadł i pojechał.

Ona też zasępiła się, dotknięta, bo nie czuła się winna.

— Jeśli tak dalej pójdzie, dojdziemy do nienawiści. I dlaczego, za co? Jak mam postępować wreszcie? — pomyślała z goryczą i zniechęceniem.

Dom był pusty.

Zaczęła w nim gospodarzyć bez zwykłej ochoty, z tem przeświadczeniem, że cobykolwiek zrobiła, zawsze źle będzie i bezużytecznie.

— Trzeba szukać zdroju, by się zahartować! — pomyślała wreszcie, opierając się całą siłą woli tej niezdrowej fali myśli. Doli nie zmienię, a jak się zacznę buntować, to jakbym stryczek sobie zaciągała. Nie, nie można! Życie nie składa się ze szczęścia, a raczej szczęście powinno być spokojem sumienia. Podjęłam się takiej doli — basta, nie wolno się z losem certować. Nie zawiniłam mu nic, nie mam o nim co myśleć, ani rządzić się, jak on, złemi humorami.

Andrzej był wściekły i podniecał się jeszcze w myśli.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy.)

Rogowski dobył kiść jakąś bardzo długą, w którą się mniejszych dużo wplątało; na końcu jej grono nasionek bardzo przypominało prozaiczną naszą hreczkę.

Karol wyciągnął łodygę zieloną, niemal świeżą, z kwiatami jeszcze niezupełnie zwiędłemi, nakształt dzwońców.

A pan Tadeusz zdziwił się, znajdując — uciętą młodą gałązkę o liściach laurowych.

Śmiali się wszyscy, nie wielkie do tego przywięzując znaczenie, a pan Pułaski rzekł:

— Wam laury panie Tadeuszu! daj Bóg byś je w ojczyźnie zbierał! Mnie się dostało coś zeschłego, czarnego jak ja... i bez życia... taką może pamięć zostawię po sobie. Karolowi jego kwiaty obiecują, że będzie rozkwitał i dzwonił, a dalej pan Rogowski... ty masz czyste i jasne proroctwo, że jeszcze hreczkę siać będziesz na swoim zagonie.

— Ale ba! — zawołał Rogowski — co o tem, to mi się nie śni!

— Mnie też o wyprorokowanym mi końcu... zeschłą gałęzią myśleć się nie chce... przynajmniej dopóki mam szkaplerz ks. Marka na piersiach...

Karol zamyślił się nad swoją Campanullą.. pobiegł sercem do Skały... tam obchodzono jej imieniny... a on nie mógł nawet cichem ją rozbudzić życzeniem...

Ale ufał, wierzył, że tam kiedyś z Saracenką powróci, że ona go tam czekać będzie, stała, wierna, niezmieniona. Niestety! Znał świat tylko ze swego poczciwego serca... w które się jeszcze zęby czasu nie wpiły...

Pili zdrowia...

Naprzód — Polski wolnej od morza do morza...

Potem wiernych synów tej matki w żałobie.

Potem przyjaciół za morzami...

A w ostatku owo polskie, owo stare... owo nasze... kochajmy się!

Bez tego symbolicznego kielicha miłości i zgody nie było nigdy w Polsce uczty żadnej.

Niech mi kto pokaże na świecie naród, któryby myśl tak świętą, tak wielką zamknął w dwu słowach, bez których nie było biesiady, nie było przyjęcia...

Coś w tem większego jest nad rozpasanie ducha, bo pragnie świętości, harmonii, braterstwa na ziemi..

Czyśmy się kochali? Bóg osądzi, ale żeśmy kochać pragnęli, uważali za obowiązek, żeśmy na sztandarze tradyce zapisali to godło, które w sobie mieści całą naukę nową... to przecie coś znaczy... Nie czcze, nie czcze to było słowo!

Pijąc ten kielich pełen wspomnień gorzkich, wymówek okrutnych, krwi braterskiej i żółci — spłakali się ściskając.

— Ten kto miasto miłości braci i kraju — krzyknął Pułaski — ojczyźnie zdradą, braciom nienawiścią się wypłacił, niech mu każdy kielich będzie trucizną...

I rozbił szkło o podłogę... posypały się wypite kieliszki...

Wstali wszyscy.

Jeszcze raz ścisnęły się dłonie, ucałowały usta, po tych polskich agapach; każdy poszedł do pościeli by nie zasnąć, ale myślą polecieć ku domowi...

Pułaskiemu przed oczyma stał wizerunek bladej, smutnej, z wypłakanemi oczyma a usty uśmiechniętemi do świata, Franusi... w królewiczowski płaszcz, jak w całun opiętej.

Kościuszce ukazała się twarzyczka księżnej Lubomirskiej, uśmiechająca się smutnie i błagająca litości.

Karolowi białe ząbki wyszczerzyła, w różowe oplecione usteczka, jego... bohdanka, siostrzyczka.

Ciąg dalszy nastąpi).

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

A po chwili przyzwawszy całą swą odwagę, dodał:

— Jego stan?

— Majster garbarski.

— A nazwisko.

— Dixmer.

— Masz słuszność, Lorinie — rzekł Maurycy siłą woli wstrzymując w sobie nawet pozór wzruszenia — idę z tobą.

— I dobrze uczynisz. A masz broń przy sobie?

— Jak zwykle mam mój pałasz.

— Weź jeszcze tę parę pistoletów.

— A ty?

— Ja mam karabin. Za broń! na ramię broń! naprzód, marsz!

I patrol ruszył w drogę w towarzystwie Maurycego idącego przy Lorinie, mając na czele siwo ubranego człowieka, który go prowadził. Był to ajent policyjny.

Widziano, jak od czasu do czasu na rogach ulic lub przy drzwiach jakiego domu, pokazywały się niby ludzkie cienie, które coś donosiły siwo ubranemu człowiekowi; byli to czuwający.

Gdy cały orszak przybył na małą uliczkę, siwo ubrany nie namyślał się wcale, ruszył tą uliczką.

Zatrzymał się przed wrotami od ogrodu, przez które wprowadzono niegdyś skrępowanego Maurycego.

— To tu! — rzekł.

— Co tu? — zapytał Lorin.

— Tu znajdziemy obu dowódców.

Maurycy oparł się o mur, sądził że padnie na wznak.

— Teraz — rzekł siwo ubrany — są tu trzy wchody: główny, ten tutaj i trzeci, prowadzący do pawilonu. Ja z sześciu albo ośmiu ludźmi udam się przez wchód główny, pilnuj [z czterema lub pięciu ludźmi wchodu tego, a postaw trzech pewnych ludzi przy wejściu do pawilonu.

— Ja — rzekł Maurycy — przejdę przez mur i czuwać będę w ogrodzie.

— Dobrze — odpowiedział Lorin — i otworzysz nam drzwi ze środka.

— I owszem — rzekł Maurycy. — Ale nie ustępujcie ztąd i czekajcie aż was zawołam. Z ogrodu widzieć będzie wszystko co zajdzie w domu.

— Znasz więc ten dom? — zapytał Lorin.

— Dawniej chciałem go kupić.

Lorin umieścił swych ludzi w rogach parkanu, we wklęsłościach drzwi, a tymczasem agent policyjny, mając ze sobą ośmiu do dziewięciu narodowych gwardzistów, udał się, jak mówił, na zdobycie głównego wchodu.

Po chwili odgłos ich kroków znikł zupełnie, nie obudziwszy najmniejszego podejrzenia w tem odludnem miejscu.

Ludzie Maurycego pozajmowali swe stanowiska i ukryli się jak mogli najlepiej. Każdy przysiągłby, że na starej ulicy świętego Jakuba nic się nadzwyczajnego nie dzieje, że zupełna tam spokojność panuje.

Maurycy więc zaczął wspinać się na mur.

— Czekajże — rzekł Lorin.

— Na co?

— A na hasło!

— Prawda.

— Goździk i podziemie. Aresztuj każdego, kto ci nie powie tych dwóch wyrazów, a przepuszczaj każdego, kto powie. Oto twój rozkaz.

— Dziękuję — powiedział Maurycy i z wysokości muru skoczył do ogrodu.

II.

Goździk i podziemie.

Pierwszy cios strasznie ugodził Maurycego, musiał on zatem przyzwać na pomoc wszelką władzę, jaką miał nad sobą, aby ukryć przed Lori-

nem wzburzenie całą jego osobą wstrząsające; atoli skoro się dostał do ogrodu, skoro się ujrzał sam wśród nocnej ciszy, odzyskał spokojność i dawniej w nieładzie błądzące myśli teraz już zebrać mógł i rozsądnie zgłębiać.

Jakto! dom, który Maurycy z najczystszą rozkoszą odwiedzał; dom który dla niego był rajem ziemskim, miałżeby być kryjówką krwawych intryg! A to dobre pojęcie jego żarliwej przyjaźni, tylko obłudą; a ta miłość Genowefy tylko obawą?

Znamy rozkład ogrodu, w którym nieraz wspólnie z czytelnikiem śledziliśmy oboje młodych ludzi.

Maurycy pełzał pod murem aż ukrył się przed promieniami księżyca po za ową szklarnią, w której go zamknięto, kiedy po pierwszy raz dostał się do tego domu.

Szklarnia ta stała na wprost pawilonu zamieszkałego przez Genowefę.

Ale tego wieczoru światło zamiast jak zwykle błyszczeć samotne i nieruchome w pokoju młodej kobiety, przenosiło się z jednego okna na drugie. Maurycy spostrzegł Genowefę po za firanką przypadkiem do połowy podniesioną; pakowała spiesznie jakieś rzeczy, i z zadziwieniem ujrzał, że broń w jej ręku zabłysła.

Aby lepiej dostrzedz, co się dzieje w pokoju, wstąpił na kamienny słupek. Wielki ogień buchający na kominie, zwrócił jego uwagę, Genowefa paliła jakieś papiery.

W tej chwili otworzyły się drzwi, jakiś młodzieniec wszedł do Genowefy.

Z razu Maurycy mniemał, że to był Dixmer.

Genowefa podbiegła ku niemu, chwyciła go za ręce, i przez chwilę oboje stali w obec siebie przejęci głębokiem wzruszeniem. Jakie było to wzruszenie? Tego Maurycy nie mógł odgadnąć, bo nie słyszał, co mówili.

Ale wnet Maurycy wzrokiem wzrost jego zmierzył.

— To nie Dixmer — szepnął.

W istocie, ten co wszedł był szczupły i mały. Dixmer zaś był słuszny i silny.

Zazdrość jest to ostry bodziec; Maurycy w mgnieniu oka umiał zmierzyć wzrost nieznajomego i rozpoznać twarz męża.

— To nie Dixmer — szepnął, jakby to sam sobie powtórzyć potrzebował dla przekonania się o zdradzie Genowefy.

Zbliżył się do okna, ale w miarą jak się zbliżał, tem mniej widział; głowa jego pałała.

Nogą dotknął drabinki, okno było na siedm do ośmiu stóp od ziemi; podniósł więc drabinę i przystawił ją do muru.

Wszedł na nią i do szpary w firance przyłożył oko.

Nieznajomy znajdujący się w pokoju Genowefy był to dwudziesto-siedmio lub dwudziesto-ośmio letni młodzieniec, z niebieskiem okiem, zgrabną figurą; trzymał rece młodej kobiety i rozmawiając, ocierał łzy, spływające po pięknem licu Genowefy.

Lekki szelest jaki sprawił Maurycy, skierował spojrzenie młodzieńca w stronę okna. Maurycy stłumił w sobie okrzyk zdziwienia, bo poznał tajemniczego zbawcę swojego na placu Châtelet.

W tej chwili Genowefa cofnęła ręcê z rąk nieznajomego; przystąpiła do komina i przekonała się, że ogień zniszczył zupełnie wszystkie papiery.

Maurycy nie mógł dłużej wytrzymać, wszystkie najokrutniejsze namiętności, jakie tylko dręczą człowieka: miłość, zemsta, zazdrość, ognistym swym zębem szarpały mu serce. Korzystał więc z czasu, pchnął źle zamknięte okno i wskoczył do pokoju.

Natychmiast dwa pistolety spoczęły na jego piersi. Usłyszawszy łoskot Genowefa, obejrzała się i oniemiała na widok Maurycego.

— Mości panie — zimno rzekł młody republikanin do człowieka, który już po raz drugi miał w swem ręku jego życie — mości panie, pan jesteś kawalerem de Maison-Rouge?

— A gdyby tak było — odrzekł kawaler.

— O! to w takim razie jesteś pan człowiekiem dzielnym i spokojnym, dla tego też mam z panem do pomówienia.

— Mów — rzekł kawaler, nie odejmując pistoletów.

— Możesz mie pan zabić; ale nie zabijesz aż krzyknę, albo raczej nie umrę aż krzyknę. Jeżeli zaś krzyknę, tysiąc ludzi otaczających ten dom w przeciągu dziesięciu minut w popiół go zamienią; zniż pan zatem swe pistolety i słuchaj co powiem tej pani.

— Genowefie! — rzekł kawaler.

— Mnie! — szepnęła młoda kobieta.

— Tak jest, pani.

Genowefa, blada jak posąg, ujęła rękę Maurycego. Młodzieniec ją odtrącił.

— Wiesz pani, o czem mnie zapewniałaś — z głęboką pogardą rzekł Maurycy. — Widzę teraz, żeś pani mówiła prawdę. W istocie, pani nie kochasz pana Morand.

— Maurycy, posłuchaj mię! — zawołała Genowefa.

— Ja nic słuchać nie potrzebuję, moja pani — odparł Maurycy. — Pani mię oszukałaś; pani od razu zerwałaś wszelkie węzły, jakie łączyły moje serce z jej sercem. Pani powiedziałaś, że kochasz pana Moran, ale nie powiedziałaś, że kochasz innego.

— Panie — odezwał się kawaler — co mówisz o Morandzie, albo raczej o jakim Morandzie mówisz?

— O Morandzie chemiku.

— Morand chemik stoi przed panem! Morand chemik i kawaler de Maison-Rouge są jedną i tą tamą osobą.

I sięgnąwszy ręką na stół sąsiedni, w jednej chwili wziął z niego perukę, która go tak długo w oczach młodego republikanina czyniła niepoznanym.

— Ach! tak jest — z podwójną wzgardą rzekł Maurycy — tak jest! rozumiem, pani nie kochałaś Moranda, bo Morand nie istnieje. Ale wybieg ten o ile był zręczniejszy, o tyle pogardy godniejszy.

Kawaler oczynił groźne poruszenie.

— Panie — mówił dalej Maurycy — chciej pozwolić, abym przez chwilę pomówił z panią. Jeżeli chcesz bądź nawet przytomny naszej rozmowie; ręczę panu, że krótko ona trwać będzie.

Genowefa dała znak kawalerowi de Maison-Rouge, aby był cierpliwym.

— Tak więc! — mówił dalej Maurycy — uczyniaś mię pośmiewiskiem moich przyjaciół, obrzydzeniem mych towarzyszy! Użyłaś mnie za ślepe narzędzie swych spisków! Korzystałaś ze mnie jak z nikczemnego służalca. Jest to czyn niegodny! Ale też zostaniesz zań ukaraną; moja pani! bo ten oto jegomość zabije mnie w twoich oczach! Ale nim pięć minut upłynie, i on także albo wyzionie ducha u stóp twoich, albo poniesie głowę na rusztowanie.

— On miałby umrzeć! — zawołała Genowefa — miałby ponieść głowę na rusztowanie! o! chyba nie wiesz Maurycy, że to mój opiekun, że to protektor mojej rodziny, że za jego życie gotowa jestem moje ponieść w ofierze, że skoro umrze, i ja umrę także, i że jeżeli ty jesteś moim kochankiem, on jest mojem bóstwem!

— Ah! — powiedział Maurycy — może i teraz jeszcze utrzymywać pani będziesz, że mnie kochasz? Zaiste kobiety zbyt są słabe i zbyt nikczemne.

A potem obracając się do młodego rojalisty, dodał:

— No, mój panie, albo zabij mnie, albo sam umieraj.

— A to dla czego?

— Bo aresztuję cię, jeżeli mię nie zabijesz.

To mówiąc Maurycy, sięgnął ręką, aby go ująć za kołnierz.

— Nie będą zaprzeczał ci mojego życia — rzekł kawaler de Maison-Rouge — bierz je!

I cisnął na krzesło broń swoję.

— A dla czegóż nie miałbyś mi pan zaprzeczać życia twego?

— Bo życie moje nie opłaci zgryzot o jakie przyprawiłoby mnie zabójstwo szlachetnego człowieka, a mianowicie dla tego, że Genowefa kocha pana.

— Ah! — zawołała młoda kobieta, załamując dłonie — ah! Armandzie, ileż zawsze jesteś dobrym, wielkim, prawym i wspaniałomyślnym.

Maurycy z głupkowatem prawie zdziwieniem spojrzał na nich oboje.

— Słuchaj pan — rzekł kawaler — wracam do mego pokoju; daję słowo honoru, że nie dla ratowania się ucieczką, ale dla ukrycia pewnego portretu.

Maurycy żywo spojrzał na portret Genowefy: wisiał on na swojem miejscu.

Bądź, że Maison-Rouge odgadł myśl Maurycego, badź, że chciał do najwyższego stopnia posunąć swą wspaniałomyślność, dość, że powiedział:

— Wiem, iż jesteś republikaninem, ale wiem i to, że masz serce czyste i prawe. Zupełnie ci więc zaufam. Patrz!

I wydobywszy z zanadrza miniaturę pokazał ją Maurycemu, był to portret królowej.

Maurycy zwiesił głowę i powiódł ręką po czole.

— Czekam pańskich rozkazów — rzekł Maison-Rouge — skoro zapragniesz przyaresztować mię, zastukaj do tych drzwi a natychmast poddam się. Nie dbam o życie od chwili, kiedy go nie pokrzepia nadzieja ocalenia królowej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIAŁ KOBIECY.

HYGIENA.

Ubranie.

(Dokończenie.)

Aby odzież chroniła nas od kurzu, wiatru i t. d., winna ona całkowicie przykrywać ciało z wyjątkiem tylko twarzy i rąk. Na częściach ciała niepokrytych osiada brud, a przytem narażone są one na działanie albo promieni słonecznych, albo też mrozu. Mówiliśmy, że brud na skórze jest identycznym z lakierowaniem jej, a wiemy, jak szkodliwe jest to ostatnie dla czynności skóry. Skóra zaś spalona, albo zmarżnięta traci oprócz tego i delikatność czucia. Nieczystość skóry, zarówno jak szkodliwe wpływy temperatury, mogą powodować rozmaite choroby skórne, które, ze względu na nader rozgałęzioną czynność skóry, są szkodliwymi dla całego ustroju.

Odnośnie więc do pierwszego zadania odzieży możemy wymagać od niej następujących przymiotów: 1) winna ona o ile możności przykrywać ciało. Dlatego to noszenie dekoltowanych staników z krótkiemi rękawami, tak często praktykowane w ubiorze naszych dzieci, winno być zupełnie zarzucone. Niejednostajne pokrycie ciała jest oprócz tego szkodliwem ze względu na to, że działanie zimna lub wilgoci na ograniczone cząstki skóry powoduje, jakieśmy to widzieli, dzięki nierównomiernemu podrażnieniu nerwów termicznych — choroby zapalne i reumatyczne. Pod tym względem zwłaszcza ubiór naszych dziewczynek jest w wysokim stopniu wadliwym: krótkie spódniczki, płócienne majtki, cieniutkie pończochy i niskie cholewki trzewików — wystawiają na wpływy temperatury całą dolną część ciała. Należałoby z tego powodu zaprowadzić radykalną zmianę w ubiorze kobiet. Tak częste u naszych kobiet choroby żołądka i kiszek, a także właściwe choroby kobiece mają swe źródło w znacznej części w tem, że kobiety od najmłodszych lat przeziębiają się.

Właściwe hartowanie skóry na wpływy zimna i ciepła, nie powinno się zasadzać na niedostatecznem ubieraniu dzieci. Organizm nie jest w stanie przystosować się do znacznych różnic temperatury, przynajmniej nie jest w stanie zrobić tego od razu, a zresztą przystosowanie to jest zbytecznem, ze względu na to, że w odzieży mamy środek zabezpieczenia się od zbytniego zimna i gorąca. Hartowanie więc powinno mieć na celu tylko przystosowanie naszej skóry do nagłych, a drobnych zmian temperatury, np. powiewu mroźnego wiatru, przemoknięcia itd.

Co do ubierania oddzielnych części ciała, winniśmy pamiętać, że najcieplej ubierać należy nogi, jako najbardziej wystawione na zimno, gdyż dotykają podłogi, ziemi zmarżniętej i t. d. Także ciepło winniśmy okrywać brzuch, gdyż, jak wiadomo, ciepło sprzyja, a zimno tamuje ruchy kiszek i żołądka tak ważne dla trawienia. Oprócz tego wiadomo, że trawienie odbywa się najlepiej w temperaturze 37—40° C., więc przez ogrzewanie brzucha ułatwiamy to ostatnie.

Widzieliśmy już, że najstosowniejszą dla podtrzymania oddychania skórnego (wydzielania potu) jest odzież wełniana. Wełna pochłania bardzo dużo pary wodnej, skrapla ją powoli i para ulatnia się bardzo stopniowo. Noszenie więc odzieży z cienkiej wełny (trykotów) byłoby zupełnie właściwem, gdyby nie to, że w lecie rozgrzewa ona bardzo i wskutek tego może wywoływać skórne choroby. Przytem jest ona droższa od płóciennej, więc dlatego nie można mieć jej w obfitości i zmieniać często; brudna zaś odzież bywa także przyczyną chorób skórnych. Dlatego to ubranie z cienkiej wełny (najlepiej całkowite, t. j. koszulkę i majtki, winniśmy nosić w zimie; w lecie zaś zastępować je przez płócienne).

Stanowczo winny być odrzucane materye nieprzemakalne, np. cerata, gdyż nie przepuszczają one ani powietrza, ani też przeziewu skórnego, skutkiem czego powodują nadmierne gorąco i zbyt obfite zbieranie się potu płynnego.

Żeby odzież nie tamowała ani ruchów ciała, ani krążenia krwi, winna być ona przestronną, lekką, nie ugniatać żadnej części ciała. Pod tym względem szkodliwem jest noszenie gorsetów, pasków na brzuchu dla podtrzymania spodni, lub zbyt obcisłych w pasie spódnic, a także ciasnych podwiązek. Gorsety u kobiet bywają przyczyną tego, że płuca niedostatecznie się wentylują, że wątroba się opuszcza i uciska przez to kiszki i żołądek, co naturalnie powoduje złe trawienie. Cokolwiek jednak mówilibyśmy przeciwko gorsetom — będzie to słowami wołającego na puszczy: jeszcze długo trzeba będzie czekać, zanim kobiety poświęcą ładną talię dla zdrowia swego i przyszłych pokoleń. Więc należałoby przynajmniej, aby gorsety nie były używane przez nasze dziew-

czynki do jakich lat 18, t. j. do ukończenia fizycznego ich rozwoju; dalej, żeby były o ile można najmniej obcisłe i najmniej twarde. Zamiast podwiązek, będących często przyczyną rozszerzenia żył na goleni, odpowiedniejszem byłoby podtrzymywanie pończoch przez tasiemki przytwierdzone do paska zapinającego się na brzuchu. Takie urządzenie praktykuje się już teraz u dzieci. Podtrzymywanie spodni za pomocą szelek, jakkolwiek źle wpływa na ruchy wierzchołków płuc, jest lepszem od ściskania się w pasie; baczyć tylko należy, aby szelki nie uciskały ramion.

Jakkolwiek strojenie dzieci wkracza więcej w sferę estetyki, hygiena jednak musi wejrzeć i w tę sprawę.

Dziecko winno być tak ubrane, aby nie krępowało się w zabawach przez obawę poplamienia lub zniszczenia drogiej sukienki.

Ileż to razy zdarza się nam widzieć dzieci, unikające ruchliwych zabaw, spacerujące poważnie jak starzy, dlatego, że są niewolnikami pychy swych matek, ubierających je w aksamitne sukienki i brukselskie koronki.

Palmy jako ozdoba mieszkań.

Wszędzie z przyjemnością patrzymy na rośliny. Ale najwięcej zadowolenia mamk, spoglądając na rośliny wyhodowane przez nas samych w mieszkaniach. Z małych słabych roślinek stały się dużemi, pięknemi okazałemi roślinami, ozdabiają nasze mieszkania, a nadto oddają nam jeszcze ważną przysługę przez oczyszczenie powietrza.

Dla nieposiadających własnych szklarń kwiatowych, lecz rozporządzających zato dostatecznie obszernem i widnem mieszkaniem i życzących sobie przyozdobić je roślinami liściastemi, najwięcej odpowiedniemi są palmy.

Palmy są roślinami dość kosztownemi, rosną dobrze tylko w obszernych, dobrze oświetlanych i oczyszczanych pokojach, a przedewszystkiem wymagają starannej opieki, utrzymywania ich zawsze w czystości i rozumienia, ile dana odmiana potrzebuje wilgoci, ciepła i światła. To są kardynalne warunki hodowli palm w mieszkaniach.

Tylko tam, gdzie sama pani, lubiąc swe kwiaty, poświęca im codziennie, choćby po kilka minut czasu, stanowią one prawdziwą ozdobę salonu. Tam zaś, gdzie rośliny zdane są na opiekę służby, są one słabe, chorowite i brzydkie.

Wszystko to, co powiedziano powyżej, nasuwa myśl, że hodowla palm w pokojach jest dostępną tylko dla ludzi bardzo zamożnych. Tak jednakże nie jest.

Ktoś bardzo zamożny może zapełnić swój salon rzadkiemi cennemi odmianami palm, ustawiając je efektownie.

Zresztą nie trzeba być bardzo zamożnym, aby posiadać w swym saloniku kilka odmian palm, najłatwiejszych w hodowli pokojowej. Te kilka palm, utrzymywanych starannie, ożywią, upiększą i rozweselą mieszkanie.

W dużem mieszkaniu można mieć wiele rozmaitych odmian, o różnych formach liści, naprzykład: Teysmannia altifrons (Pehilidocarpus) o liściach bardzo zbliżonych swą formą do rodziny bananów. Verschaffeltia splendida, Phoenicophorum sechellarum, Areca, Kentia, Cocos nucifera, o nierozdzielnych ostrokończastych liściach. Caryota urens, o liściach pierzastych. Livistonia sinensis vel Latania borbonica, Latania olwaeformis, o ślicznych wachlarzowatych ogromnych liściach. Chamaerops, bardzo wytrzymałe w hodowli pokojowej, Corypha, Thrinax, Brahea, Geonoma, Chamedoraea, z gładkim i kolczastym pniem, Bactris, Desmoncus, Calamus, Rhapis flabelliformis, Pritschardia, Sabal, Seaforthia, Phoenix, Eleis, Jubea i wiele innych. Są to rodzaje, które chciałbym najusilniej polecić do hodowli w mieszkaniach.

W naszym kraju rozpoczęto hodowlę tych pięknych dekoracyjnych roślin o wiele później, niż gdzieindziej. Podobno najpierw hodowano u nas palmę daktylową (Phoenix dactylifera), najłatwiejszą ze wszystkich w hodowli, a pomimo to ładną, dekoracyjną roślinę. Przed 20—40 laty hodowano na sprzedaż tysiące egzemplarzy tej palmy i hodowcy mieli znaczne korzyści. Później hodowla palm już się nie opłacała, gdyż poczęto przywozić ich z zagranicy mnóstwo i konkurencya z zagranicą z powodu nizkich cen stała się niemożebną.

Obecnie mamy w kraju wiele gatunków palm o bogatem, różnorodnem ulistnieniu.

Palmy są śliczne, wspaniałe, lecz ich kwiaty są nikłe, bezbarwne, brzydkie i dla nas nie mają żadnego znaczenia, gdyż w kraju naszym owoce palm nie dojrzewają. U niektórych odmian pojawienie się kwiatu jest nawet, że się tak wyrażę, przepowiednią ich śmierci.

Palmy, jako rośliny podzwrotnikowe, najlepiej zachowują się w hodowli pokojowej przy 12—15 stopni ciepła — zimą — oprócz niektórych odmian pochodzących z Australii (Nowej Zelandyi),

Północnej Ameryki, Chin i Japonii, a mianowicie Livistonia australis, Cacos coronata, Areca Baueri, Chamaerops humilis, Phoenix dactylifera i inne, które najlepiej utrzymywać przy 6–8 st. ciepła podczas zimy. Dla wszystkich odmian palm ciepło 25—30 st. nie jest szkodliwe, gdyż jest to zwykle pora przyrostu.

Wiosną i latem palmy wymagają półcienistej wystawy i wtedy trzeba je chronić przed promieniami słońca, a w porze zimowej należy je umieszczać, o ile to możebne, jak najbliżej okien. Lecz jak w porze letniej, tak i zimowej, stawianie palm na oknach zalecanem być nie powinno, ponieważ promienie słońca, koncentrując się w falistościach lub pęcherzykach na szybach okien, wypalają na liściach plamy i psuje je zupełnie. Najwięcej takich plam zauważono na palmach świeżo skropionych i wystawionych na działanie słońca po za oknami. Z tego, co wyżej powiedziano, nie należy mniemać, że dla ochrony palm od promieni słonecznych potrzeba stawiać je w kącie. Trzeba tylko zacieniować je, zawieszając okno. Nie należy także wystawiać ich na balkony i inne podobne odkryte miejsca wystawione na działanie silnych wiatrów, bo liście pálm, wstrząsane wiatrem, rozdzierają się lub rysują i tracą swą piękność. Palmy wymagają bardzo dużo wilgoci i dlatego najlepiej jest stawiać je na płaskie miseczki lub talerze i podlewać tak obficie, aby woda, przemoczywszy całą bryłę ziemi, zapełniającą wazon, spłynęła na podstawione naczynie, z którego roślina następnie sama zabiera wodę w takiej ilości, jakiej potrzebuje. Wogóle rośliny palm powinny być często podlewane. Nie można obliczyć dokładnie, ile razy dziennie, gdyż to zależy od wielu powodów. Sądzę że na miseczkach, podstawionych pod wazony, woda powinna się znajdować zawsze, lecz codzień świeża, a cała bryła ziemi z wierzchu nie powinna wysychać nigdy.

Woda używana do podlewania roślin powinna mieć ciepła najmniej 20 st., poprzednio przegotowana, albo dobrze wystała.

Palmy słabo rosnące wymagają zasilania nawozami ciekłemi, jak guanem ptasiem, krwią, rogowemi opiłkami i solami wagnerowskiemi.

Po zimomowym odpoczynku, gdy rośliny zaczynają rosnąć, mianowicie od połowy lutego do września, należy je w dnie pogodne zraszać obficie za pomocą pulweryzatora, wodą wystałą, 3—4 razy dziennie. Najwłaściwszą porą przesadzania palm jest czas przyrostu t. j. wiosna i pierwsza połowa lata. Przy tej czynności należy obchodzić się bardzo ostrożnie z całą bryłą ziemi, ażeby jej nie rozsypać. Tylko nadpsute korzenie należy obcinać, zdrowe i całe zaś korzenie trzeba tylko cokolwiek poruszyć, ażeby między nie dostała się świeża ziemia.

Naczynia brane do przesadzania roślin, np. wazony gliniane lub drewniane, nie powinny być większe od poprzednich nad 3—4 centymetry w średnicy, bo zanadto duże naczynie szkodzi samej roślinie i wygląda niełądnie; wazony winny być raczej formy wysokiej, a nie szerokiej, gdyż palmy w takich lepiej się zakorzeniają.

Na spodzie wazonu układa się warstwę potłuczonych skorupek (drenaż), następnie warstwę piasku rzecznego. Ziemia zaś dla palm powinna się składać przeważnie z następujących gatunków: 1) z dobrej gliniastej, 2) z silnej darniowej i 3) z wrzosowej lub w braku tej ostatniej — z liściowej, zresztą te obydwa gatunki są dobre dla palm i mogą być zawsze mieszane; do ziemi powinno się dodać w stosunku $^1/_{10}$ piasku rzecznego czystego albo miału węgla drzewnego.

Dom i kuchnia.

Kalafiory.

Smaczną tę jarzynę mamy przez cały rok, ale najdelikatniejsza na wiosnę i na początku lata, kiedy jest młoda. Kalafior powinien być biały, ścisły i twardy. Przed gotowaniem obrać skórkę, znajdującą się na łodydze, część łodygi odkroić, kalafior opłukać w zimnej wodzie, do której się wlewa trochę octu, aby liszki ukryte w kalafiorze, powychodziły; posolić, następnie włożyć je w rondel z gorącą wodą, dodać szczyptę cukru i gotować, póki się nie uginają pod palcami. Kalafiory podaje się z masłem rumianem wymieszanem z bułeczką lub też z sosem holenderskim. Wyborne są w lecie na zimno z octem i oliwą.

Trufle

są bardzo dobrą przyprawą do sosów, do pasztetów, nadziania do indyka, prosięcia i innych. Trzeba tylko zająć się niemi skoro są świeżo z ziemi wykopane.

Jak są w całości, opłukać je bardzo starannie, potem obetrzeć i pokrajane rozłożone na czysty papier ususzyć w piecyku, bacząc, by ten był średnio ciepły, najlepiej gdy już pod blachą ogień wygaszony. Gdy trufle są zupełnie ususzone, potłuc je w moździerzu na drobno, zsypać do puszek blaszanych, a używając do farszów wsypać do tegoż, upodobaną ilość tych trufli. Kosztować farsz, by nie przesadzić w ilości. Jeżeli się używa trufli do sosów, to je trzeba obgotować w lekkiem białem winie. Przechowywać trufle w suchej śpiżarni.

:: HUMORYSTYKA ::

Fatalna piękność.

Piękność była to wspaniała,
Wszystka młodzież się kochała;
Izia miała wielkie szczęście,
Szli rywale wciąż na pięście.
Co też mówię, istne wojny:
Jakiś powiew niespokojny
Objął oszalałą młodzież:
Darli sobie łby i odzież,
Izia patrzy się i cieszy,
Że w tej zwartej chłopców rzeszy
Takie walki idą o nią,
Na bój patrzy się z ironią
I tryumfem: ten się strzela,
Ów zarąbał przyjaciela,
Tamten przeciwnika topi,
Ten zaś wrzącym płynem kropi.
Już krwi cała płynie rzeka,
Izia... końca walki czeka,
Lecz wciąż szał ogarnia zgraję.
Bój rywali nie ustaje,
Wreszcie, losie zimny, srogi,
Naraz wszyscy chłopcy w nogi,
Pierzchła już drużyna cała,
Bo panna... się zestarzał.
Zestarzała się okropnie..
— Niech gęś — prawi — walki kopnie;
Tryumf był ot, złudną marą
Jam zaś dzisiaj panną starą!

Przez omyłkę.

— Dyn, dyn!

— A czego to?

— Proszę pana, u nas tak dymi aż moją panią przydusiło.

— Zaraz idę, tylko wezmę instrumenty.

— To pan sam kuchnię naprawi a nie zawoła zduna.

— Jakiego zduna? Jestem lekarzem.

— A ja myślałam, że tu gospodarz mieszka, pomyliłam się o piętro, przepraszam!

Wiadomo, że Jowisz uwiódł Europę w postaci byka, dlatego też wiele cieląt w niej widzimy.

Chciał adoptować.

S ę d z i a: Jakto? i miałeś ty, człowiecze, sumienie kraść to cielę z obory?! (zapalając się stopniowo, melodramatycznie), miałeś sumienie pozbawiać biedną krowinę widoku jej ukochanego, dopiero co narodzonego, jedynego dziecięcia?!

O s k a r ż o n y (rozczulony do łez, szlochając): Proszę o względy, panie sędzio! Ja miałem zamiar to małe a d o p t o w a ć.

Usprawiedliwił się.

— Raju boski! Wicek! jak ty wyglądasz, łobuzie!

— Hano, proszę taty, wpadłem do kanału i powalałem się.

— W nowych spodniach tameś polazł?

— Kiedy tak prędko wpadałem, że nie było czasu zdjąć ich wprzódy...

Komplement męża.

— Prawda, Kaspruniu, ty wolisz do herbaty pączki, aniżeli te słodycze?

— Oczywiście, mój aniołku, gdyż ty jesteś mi słodszą od wszelkich słodyczy, a że nie jesteś już pączkiem, rozumie się samo przez się...

Ze stosunków handlowych.

— Co pan taki dziś markotny, panie Pawle?

— Dlaczego ja nie mam być markotny, kiedy mój zięć wczoraj zbankrutował.

— To smutne, naprawdę. No, a ile sobie pański zięć zostawił?

— Pan jesteś dziwakiem.

— Dlaczego dziwakiem?

— Bo gdyby mój zięć był sobie coś zostawił, to dlaczego ja miałbym być markotnym!

Praktyczny lekarz.

— Tu masz, kobieto, receptę, każesz sobie w aptece sporządzić maść i będziesz nią trzy razy codziennie smarowała męża. Jeżeli pomoże, to dasz mi o tem znać, bo ja także cierpię na reumatyzm.

Redaktor odpowiedzialny Marjan Hupczyc w Krakowie.